WITEŹ

ANTONI SZECH: *Czy my mamy jeszcze nadzieję?*

W. GINTOWT: *... Mamy*

HENRYK STAP: *Pewność*

ART. ŚLIWIŃSKI: *Mochnacki jako publicysta*

JERZY HUZARSKI: *Problemat emigracyjny w kwestyi żydowskiej*

LEON RYGIER: *Twórczość*

J. PRZECŁAWSKA: *Życie*

T. ULANOWSKI: *Maryanna*

W. FELDMAN: *Romantyzm i jego skutki*

W. SIEROSZEWSKI: *Tułacze*

M. MARKOWSKA: *Żywie*

ST. LACK: *Uwagi o sztuce Daniłowskiego*

J. ADAMOWICZ: *Fatalną idę, bezpowrotną drogą...*

SAVITRI: *Ostatnie utwory L. Andrejewa*

JAN LEMAŃSKI: *Prawo własności*

W. LIS: *Sprawa narodowa w Galicyi a Koło Polskie*

WIT. PILAWSKI: *Z Francyi*

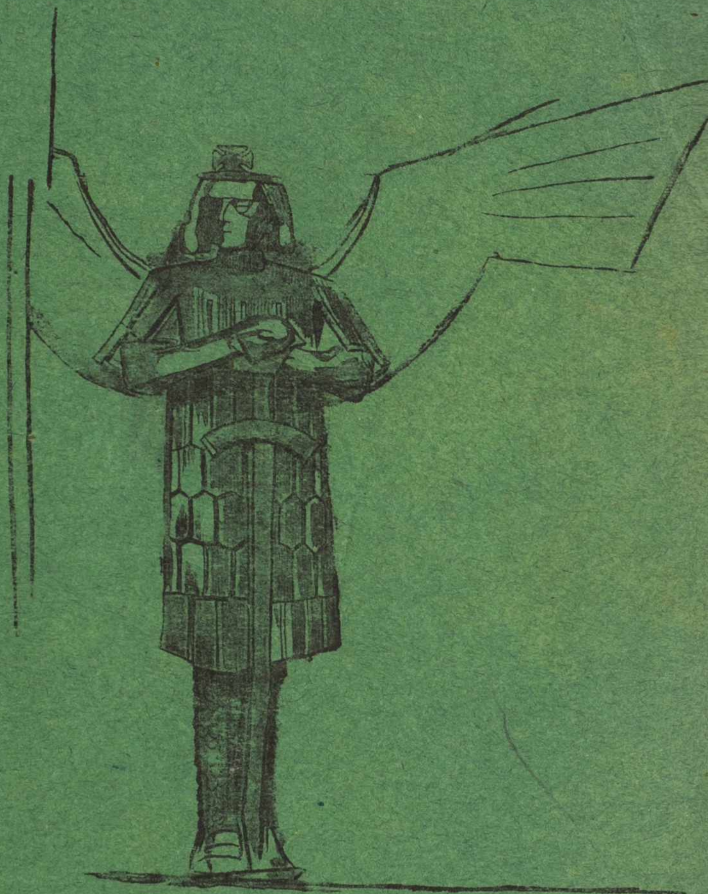
H. ST. P.: *Aleksander Smaczniński*

FELIETON ZBIOROWY: *Misericordia*

SPRAWOZDANIA

ROCZNIK I. ZESZYT 10—12.
d. 15 czerwca 1908 r.

Redaktor i wydawca:
H. St. PYTLIŃSKI



Rys. St. Wyspiański

WITEŹ

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca w zeszytach niniejszego formatu —

każdy zeszyt zawiera 3 arkusze (48 stron) druku — zamiast dwóch zeszytów styczniowych późniejsze były odpowiednio zwiększone (prenumerata liczy się od 1 stycznia).

Na rachunek zeszytów styczniowych dodano ponad zwykłą normę ogółem 6 ark. druku (96 stron), t. j. całkowitą objętość dwóch zeszytów, wobec czego zmienioną zostaje numeracya.

PODCZAS FERYJ LETNICH „WITEŹ“ WYCHODZIĆ BĘDZIE W ODSTĘPACH RZADSZYCH, LECZ W OBJĘTOŚCI ODPOWIEDNIO ZWIĘKSZONEJ.

Obecnie już na rachunek zeszytów przyszłych dodano 1¼ ark. (20 stron) druku.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2, z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kp. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Książęca 6.**
Telefon 9-93.

Cena zeszytu 10—12-go: k. 80 (na prowincyi k. 90), kor. 2 hal. 60, m. 2 fen. 40, fr. 3.

Witeź

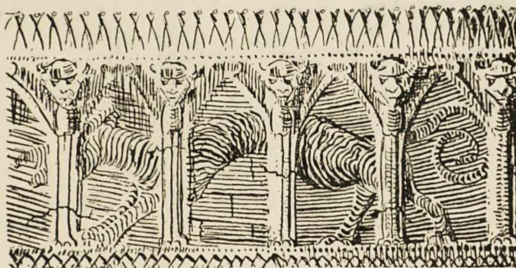
PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie — rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2; z przesyłką pocztową — rocznie rb. 10, półrocznie rb. 5, kwartalnie rb. 2 kop. 50; zagranicą — rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3.

Witeź

czasopismo społeczno-polityczne i artystyczno-literackie, wychodzące 1 i 15 każdego miesiąca

Rok 1908



ROCZNIK I ≡ PÓŁROCZE I
ZESZYTY 1—12



Warszawa
Redakcya i Administracya przy ul. Książęcej Nr. 6
(telefon 9-03)



Drukowano w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki. Składał i łamał: Zenon Śmieszek. Odbijał na maszynie: Leonard Batylda. Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym B. Wierzbickiego i Sp. Broszurowano w introligatorni W. Tymińskiego. Papier ze składów Ignacego Wienera.

Prace zamieszczone w półroczu pierwszem (w zeszytach 1—12) roku 1908.

Od Redakcyi:

Str.

Słowo wstępne 2
W przededniu rocznicy 217

Artykuły społeczno-polityczne, historyczne i ekonomiczne:

Gustaw Daniłowski: Memento 3
W drażliwej sprawie 105
Z psychologii konserwatyzmu 329
Giejot: Dwie polityki 231
W. Gintowt: ...Mamy 502
Dr. Władysław Gumplowicz: O rynkach 173
Kapitalizm a feudalizm 333
Jerzy Huzarski: O nacyonalizmie żydowskim 441
Problemat emigracyjny w kwestyi żydowskiej 518
W. J.: Zamach na namiestnika Galicyi 373
Jan Kleczyński: Włościanie w końcu XVIII wieku 65
Szlachta w końcu XVIII wieku 118, 167
W. Lis: Z Prus i Austryi 45
Portugalia 96
Ekspansya austryacka na Bałkanie 152
Kto zagraża pokojowi? 254
Rusini i Rosyanie w Galicyi 368
Pan Michał Bobrzyński 423
Sprawa narodowa w Galicyi a Koło Polskie 568
St. Mendelson: W drażliwej sprawie 280
Wacław Nałkowski: Dwie drogi i dwa środki postępu 115
Odrowąż: Wywłaszczenie 203
Paragraf 7-y 309
Z pruskiego raju 448
Witold Pilawski: Z Francyi 572
A. S.: W sprawie szkolnictwa 252
Michał Sokolnicki: Szkice polityczne 7, 57, 108

Str.
Henryk Stap: Pierwsze błyski 41
Przebudzenie 89
Z zagadnień chwili 385
Pewność 504
Antoni Szech: Czy my mamy jeszcze nadzieję? 497
Artur Śliwiński: Z powodu „Trybuny Ludów" 15
Słowo optymizmu 53
Jedyna odpowiedź 161
Utopia wszechsłowiańska 273
Człowiek czynu 391
Mochnacki jako publicysta 508
Leon Wasilewski: Stronnictwa galicyjskie 147
Po wyborach sejmowych 207
Nowy program 313
Polityka Słowiańska a Polacy 448
Maryan Zbrowski: O tworzeniu ojczyzny 220

Literatura i Sztuka:

W. Feldman: Romantyzm i jego skutki 467, 528
Tadeusz Herburt: Andrzej Strug („Ludzie podziemni") 418
St. Lack: Uwagi o sztuce Daniłowskiego 471, 546
Wacław Makowski: Na temat „Dziejów Grzechu" 193, 245
Ignacy Matuszewski: Kiedy Słowacki został mistykiem? 32, 76
Stanisław Mleczko: Wyspiański o Hamlecie 136
Eligiusz Niewiadomski: O polskiej sztuce stosowanej 363
Savitri: Ostatnie utwory L. Andrejewa 557

Poezya:

Jan Adamowicz: Fatalną idę, bezpowrotną drogą 554
Gustaw Daniłowski: Evviva! 75
Wiktor Dzierżanowski: Słowo — Wiklina 361
M. Gliksonówna: Pozdrowienie 308
Artur Graf: Okręt wśród lodowców (przekład *A. Bronisławskiej*) 125
Wacława Grodzicka: Na łące 307
Marya Konopnicka: Pocałunek Roberta Emmeta 24
Antoni Lange: Sunda i Upasunda 411
Jan Lemański: Polonez 39
Dyalog 143
Prawo własności 562
Bolesław Leśmian: Aniołowie 453
Marya Markowska: Z melodyj śmierci 251
Żywie 544
Edward Milewski: Kolie miłosne 422
Władysław Orkan: Naszła nas burza 74

Str.
Michał Maryan Poznański: Z tryoletów 198
Janina Przecławska: Życie 525
Leon Rygier: Twórczość 523
Savitri: Bez sił 478
Edward Słoński: Z pamiętnika 182
A. Szczęsny: Zwierciadła 307
Tadeusz Ulanowski: Proporzec 234
Fioretti di San Francesco (Wilk z Gubbio) 293
Staw tatrzański 401
Maryanna 527
Mamert Wikszemski: Z „Asmodeusza" 342
Wacław Wolski: Ballada o Witeziu 88
Leszek Wójcik: * * * 362

Powieści i nowele:

Jan Lemański: Piskórz mądrala 355
Savitri: Siły bezpłodne 304
Wacław Sieroszewski: Tułacze 127, 184, 235, 295, 344, 402, 459, 536
Zofia Rygier-Nałkowska: Małżeństwo 82
Stefan Żeromski: Bandos 26

Różne:

Dr. Miecz. Biernacki: O śmierci 480
W. Grubiński: Teatr 317
W. Nałkowski: O ludziach i ideach 289

Wspomnienia pozgonne:

J. A.: Stanisław Wyspiański 30
B. F.: Jan Ludwik Popławski 260
H. St. P.: Aleksander Smaczniński 575
L. R.: Ludwik Stanisław Liciński 367
Antoni Szech: Z nad świeżej mogiły (z powodu śmierci ks. E. Miłkowskiego) . 199
L. Typ: Mamert Wikszemski 479

Rozbiory i Sprawozdania:

Jan Adamowicz: Król Stanisław August *Ign. Grabowskiego* 51
Andrzej Towiański i Towianizm *Andrzeja Baumfelda* 494
Sam na sam z duszą-kapłanką przez *tegoż* 495
A. Drogoszewski: Szkolnictwo średnie w Anglii *Br. Bouffałła* 265
Pijani—dramat *W. Grubińskiego* 269
Na krawędzi, opowiadania *Wł. St. Reymonta* 324
Linie Hofera, powieść *C. Jellenty* 325

Str.
A. Drogoszewski: W imię Krzyża! Rys dziejów inkwizycyi *Czesława Wrockiego* . 586
Etapem na katorgę przez *Feliksa Kona* 587
Jan Kleczyński: Obrona rodziny *N. E. Wolskiego* 267
Spowiedź *Leona hr. Tołstoja* (tłum. z ros.) 380
Wyjaśnienia *Antoniego Szecha* 435
Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego" 489
Pogadanki moralne *Izy Moszczeńskiej*. O wychowaniu religijnem *tejże* . . 584
J. L.: Głód-mocarz. Szkice ekonomiczne *A. Bacha* 326
Józef Lange: Chałupnictwo, przez *Jana St. Lewińskiego* 326
I. Wydawnictwa Polskiego Stowarzyszenia Równoupr. Kobiet. II. Wydawnictwa im. Elizy Orzeszkowej. III. Biblioteka Równoupr. Kobiet . . . 490
St. L. L.: Jak sobie radzić w nagłych wypadkach choroby?— *W. Wrońskiego* . . 271
A. Lemiesz: Bezimieńce, opowiadania *Edw. Słońskiego* 438
i. p.: Przysłowia i zwroty żydowskie przez *Ignacego Bernsteina* i *B. W. Segla* . . 215
St. Pyrowicz: Historya ustroju Polski *dr. Stan. Kutrzeby* 580
Savitri: Śladem Rosynanta, poemat dramatyczny *Jana Rundbakena* 582
Stefan Wężyk: Z dziejów narodu *Heleny Orszy* 437
Z.: Z pamiętnika włóczęgi *L. St. Licińskiego* 101
W promieniach *M. Kulikowskiej*. Obudzeni *M. Płażkówny* 216
„Avanti", listy z podróży naokoło świata *Liny Boegli*, w przekładzie *M. Świderskiej* 586

MISERICORDIA — felieton zbiorowy — w każdym zeszycie.

NOTATKI i WYKAZY książek nadsyłanych.

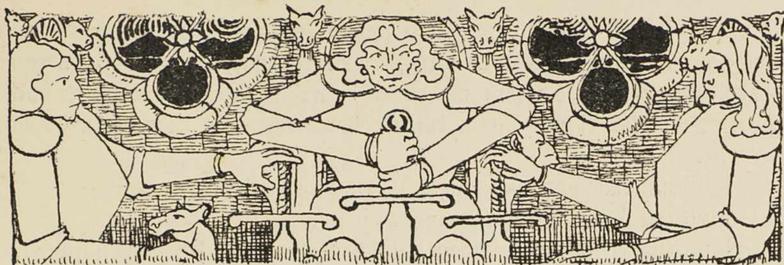
Rysunki, winiety, przerywki, ozdoby:

Stanisław Wyspiański: Rysunek naklejony na karcie tytułowej zeszytu 1-go oraz powtarzany na okładkach zeszytów.

G. Fleury, Zygmunt Kamiński, Apoloniusz Kędzierski, Wacław Koźniewski, Władysław Krassowski, Henryk Minkiewicz, Ignacy Rożniecki, Edward Słoński, Leokadya Śliwińska, Stanisław Śliwiński, Tadeusz Ulanowski, Andrzej Zarzycki: Rysunki nad i pod wszystkimi artykułami w każdym zeszycie.



Redaktor i wydawca: **H. St. Pytliński**



WITEŹ

ROCZNIK I ≡ ZESZYT 10—12
Warszawa, 15 czerwca 1908 r.

ANTONI SZECH

Czy my mamy jeszcze nadzieję?

W najsmutniejszych chwilach porozbiorowej historyi naszej — w najciemniejszych dniach, które przeżywaliśmy, świeciła nam ona, jak gwiazda polarna na pochmurnem niebie — Bywało, że mrok wokoło stawał się ciężki, straszny, że otchłań huczała burzą okrutną — że fale i wichry miotały się w nas z dziką nienawiścią, a chmury — całe zaciągały niebo i wszystkie gasiły na niem gwiazdy, wszystkie światła, wszystkie skrawki jaśniejsze nieba — Ale ta jedna gwiazda, gwiazda nadziei — pozostawała zawsze —

Do niej zbliżyć się nie śmiały czarne chmur kłęby, ją omijały spłoszone dymy mgieł, pajęczyny gęste oparów—Brylantowa, jasna pośród mroków nocy, naprzekór tym gęstym, czarnym chmurom, urągając burzy, co szalała wokoło, i wściekłości wszystkich mocy ciemnych—ona świeciła zawsze—I cudny, łagodny jej promień spływał z nieba ku nam—ku łodzi naszej i szlak nam znaczył poprzez spienionych fal grzywy w dal, w mroki mgieł, co wszystko zaległy, w poświst burzy, w łono wichrów, w przyszłość—

I na czołach naszych promień jej kładł blask swego światła, że mrok ogarnąć ich nie mógł, ni chmura okryć ich i zasępić—I w oczach nam świecił głębokim, tajemniczym blaskiem, którego zaćmić nie mo-

gli nieprzyjaciele nasi i przyszłości naszej grabarze—blaskiem bohaterskiej potęgi duszy—niezwyciężonej, niezwalczonej mocy—I do serc się naszych przedostawał i tam łzy nasze gorzkie, tajemne w perły cudowne przemieniał—i rany nam bliźnił, krwawiące się czerwono,—i otuchę wlewał i siłę —

I w stal hartowną—w nieskruszony przemieniał ją spiż—

I można było życia nas pozbawić —

I można było serca wyjąć nam z dymiących, krwawych piersi —

I kraj cały krwią zalać —

I w pustynię ruin, zgliszcz, popiołów go zamienić —

W jeden wielki, posępny cmentarz, kędy nad grobami i nad lasami krzyżów jęczy czarnych ptaków stado—i wichry wyją—

Ale nadziei odebrać nie było można—Ale tej gwiazdy jasnej zgasić—ni jej zaciemnić—nigdy—

Wśród mroków, wśród smutków, wśród coraz straszniejszych ciemności—

Ona promieniała owszem żywiej, ona nabierała blasków, ona potężniała tylko—

Ta błogosławiona gwiazda nasza—nadzieja—

I nic zgasić jej nie było w stanie—

Choć wszystko wokoło bluźniło nadziei—Choć wszystko, co było, co się widziało dokoła, czego spodziewać się rozsądnie było można—urągało jej—

Choć rozum jej przeczył, choć oczywistość była przeciw niej—

Choć szalonym trzeba było być, by ją zachować—

Ona nas jednak nie opuszczała—

Choć wszystkie głosy nieba i ziemi piekielnym krzykiem, szatańskim chórem, piorunową gromów muzyką wrzeszczały przeciwko niej—ona cichym, łagodnym dźwiękiem brzmiała w głębi dusz naszych, w jakiemś „świętem świętych“ naszego serca, a dźwięk ten zgłuszyć się nie dawał wszystkim tym wrzaskom—

I cichy, łagodny, lecz uparty przemagał tamte—

Silniejszy, potężniejszy był od nich —

*
* *

Na pobojowisku wśród gruzów i trupów krwawiących, jęku rannych i kałuż krwi dymiącej i krzyków dzikiego ptactwa, co chmurami

na żer leciało—na tle łun, palonych wsi i miast naszych—i stratowanych i kulami zrytych pól naszych —

Na mogiłach naszych bohaterów i kurhanach dawnej sławy naszej —

Wśród krwawych odblasków nieba i ziemi —

Brzmiała pieśń wieszczów naszych dźwiękami nadziei i lotem sokolim wzlatywała ku niebu—i przed tronem upadała Bożym—i Aniołem biegła ku przyszłym pokoleniom, Aniołem, co czuwać miał nad duszami dziatek—i budzić serca zastygłe—i zapalać oziębłe—a w chwilach smutku ręce swe białe kłaść miał na czoła blade i wznosić je ku niebu —

Z pieśnią nadziei szły legiony nasze poprzez niebotyczne szczyty Alp śnieżnych—i zawrotne skalne zwały Pirenejów—i zielone, lasami cyprysów i pinij zarosłe doliny Italii—i przekraczały morza i oceany, hen—ku krańcom świata za orłami Napoleona zmierzając —

I krok ich każdy—i czyn każdy—i kropla krwi ich każda—i każde westchnienie ich konania — aktem były nadziei i świadectwem przed Bogiem i światem —

Że żyje w nich—i nie zginie —

Z pieśnią nadziei jeśli nie na ustach, bo one przemocą brutalną zawarte być musiały, to w sercu przynajmniej — szły szeregi długie, smutne, bolesne wśród brzęku, poświstu—i dymów śnieżnych zawiei—i na bezludne, jak świat wielkie równiny—by ofiarą błagalną spocząć pod całunem białym tych bezkresnych cmentarzy —

I z pieśnią nadziei kładli się tu ci męczennicy nadziei wiekuistych —

I pieśń nadziei uparta, przekorna, nieśmiertelna, niestłumiona niczem, którą głębie serc polskich śpiewały—krzepiła ramiona tych, co przyszłość kuli w wiekuistych mrokach podziemi —

I pod krzyże męki towarzyszyła ona, jak Anioł skrzydlaty —

I głuszyła jęki czarami melodyi swojej—ta pocieszycielka nasza Boska—ten Anioł Stróż nasz—ta krzepiąca rosa w posusze serc naszych—ta gwiazda przewodnia nasza wśród burz i piorunów—pieśń nadziei —

I cała ziemia polska brzmieć nią się zdawała od krańca do krańca, od twardych Tatr szczytów — do poszumu fal Baltyckiego morza i do rozśpiewanych pieśnią smętną zielonych stepów Ukrainy —

Słyszałeś ją i w bohaterskich podmuchach halnych wichrów — i w szumie rzek naszych i jezior — i w głosie orłów podniebnych — i w szeptach traw i kwiatów łąkowych —

Tę pieśń śpiewały święte nasze lasy czerwonych sosen i potężnych dębów—i zawodziły ją wichry czasu burz letnich i zawieruch zimowych — i w głosie dźwięcznym słowików słyszałeś ją i w jękach ciągnących żórawi —

I brzmiała nią ojczyzna cała — w sercach, duszach, w myślach i czynach, w lasach i trawach — i wszystkich głosach natury — jak jedna wielka, rozśpiewana srebrna arfa —

Tą pieśnią błogosławioną nadziei —

*

* *

I jak niegdyś pierwsi wyznawcy Chrystusa, za przyjściem ukochanego Mistrza swego stęsknieni, z dnia na dzień oczekiwali go i zapowiedź przyjścia jego widzieli we wszystkiem —

I spać się kładąc, myśleli, że oto gromów muzyka ich zbudzi — i blask roztwierającego się nieba sen spędzi im z powiek — I za dnia spoglądali ku niebu, czy w promieniach słońca nie ujrzą ukochanej postaci—i nasłuchywali, czy nie zabrzmi pieśń anielskich hufców—

Tak i my czyniliśmy —

Z każdą wiosną czekaliśmy ziszczenia marzeń naszych — urzeczywistnienia naszych złotych nadziei —

I dziwno nam było, że się ono opóźnia tak bardzo —

I że zawodzi nas tak okrutnie —

Zaledwo echo dalekie zabrzmiało nad rozłogiem pól naszych odgłosami dział, co kędyś na krańcach ziemi grały —

Zaledwie zawierucha podniosła się gdzie od stepów dzikich — czy skał Kolchidy—czy od czarnych fal dalekiego morza —

Zaledwo drżenie jakie wstrząsnęło światem dusz—czy wicher czasów zahuczał złowrogo, uderzając w podwaliny jakiejś mocy, a ta się zachwiała —

Myśmy już słuch natężali, czy to nie głos spełniających się snów naszych—nie hasło dnia nowego —

Zaledwo łuna się podniosła od wschodniej czy zachodniej granicy naszej--czy zorza zaświtała jakiej nowej idei — czy błyskawica jakiego niezwykłego zdarzenia —

Myśmy otwierali oczy — czy to już nie blask, w którym znijdą ku nam oczekiwania nasze —

I niecierpliwi—trwożni—stęsknieni—do grobu tego przypadaliśmy cochwila, w którym ukochanie nasze złożono,—i ze drżeniem przykładaliśmy ucho, czy tam pod tym twardym, olbrzymim głazem nie budzi się życie —

Czy nie zadrga grób ten —

I nie zatrzęsie się ziemia —

I nie rozchyli się on, jak pęk kwiatu na wiosnę —

I nie nastąpi wskrzeszenie —

I wpośród krzyżów, mąk, cierpień, katuszy — i wielkich zawodów—i urągań losu—i wciąż rozwiewających się nanowo złudzeń —

My patrzyliśmy tylko — rychło li błysną blaski zmartwychwstania —

I cud się ziści —

Rychło li ta pieśń nadziei, którą rozbrzmiewała ojczyzna — którą śpiewały i serca wszystkie, i lasy, i łany, i wiatry —

Zamieni się w hymn tryumfu — w jeden olbrzymi hymn pochwalny —

Hymn świętego wesela —

Spełnionej nadziei —

*
* *

A dziś czy my mamy jeszcze nadzieję?

Tyle już razy ona nas zawiodła —

Tyle już razy ta gwiazda nasza na błędne jeno zawiodła nas manowce —

Tyle już razy te grzmoty i gromy, cośmy jako zapowiedź zguby wrogów naszych uznawali, spadały na nas —

Tyle już razy te ognie niby zmartwychwstania — w czerwone, krwawe łuny klęsk się zmieniły —

I grób ów czarny, smutny ukochań naszych smutnym pozostawał —

A głaz twardy na nim gniótł go coraz bardziej—i ciemniej, straszniej było na nim coraz —

Rozbolały już oczy nasze—czy oślepły—od wypatrywania wciąż złudnych wschodów —

I uszy już słyszeć przestały—od ciągłego natężenia —
Zmęczyły się, wyczerpały serca —
Zbyt to już długa ta próba —
Zbyt wiele zawodów —
I nazbyt krwawych, okrutnych, złośliwych —
I zwątpić wolnoby nam już było —
I znienawidzieć—przekląć nadzieję —

* * *

Czy my jeszcze mamy nadzieję?



W. GINTOWT

...Mamy

Takie pytanie nie może zostać bez odpowiedzi. Samo jego postawienie z akcentem na *jeszcze* wywołuje wrażenie ukrytej w nim wątpliwości, a nawet przeczenia.

Co więcej, fatalne owo „*nie!*“ już raz wypowiedziane zostało głośno i otwarcie przed czterdziestu kilku laty, kiedy klęskę dziejową uznali współczesne i następne pokolenia nie za przegraną bitwę, jak porywy dawniejsze, ale za straconą niepowrotnie sprawę.

Podówczas fałszywy ten wniosek nastręczał się niejako naturalnie; istotnie, w kataklizmie została rozgromioną ostatecznie szlachta, która do tego dziejowego momentu niepodzielnie reprezentowała naród, wypełniała całkowicie karty jego, a właściwie—własnej historyi to czarnem, to złotem pismem, a im bliżej końca, tem stylem podnioślejszym godnym epopei. Toteż bankructwo jej wyglądało, jako bankructwo całego narodu. Na opuszczonym przez nią pobojowisku nie dostrzegało się żadnych sił wolnych do działania, gdyż świeżo uwłaszczony lud ledwie się dźwigał z wiekowej niedoli, i trudno w nim było upatrywać i poznać dziedzica porzuconej sprawy,

Przytem, choć szlachta jako warstwa przodująca naturalnej tendencyi narodu upadła i wyrzekła się ojców bohaterskiej spuścizny, nie przepadła bynajmniej, [nadając w dalszym ciągu ogólny ton umysłowemu i obyczajowemu życiu. Ona nadal pisała, przemawiała za cały naród, nic więc dziwnego, że jej opinie wrzynały się najsilniej w społe-

czeństwo. Toteż owo „już nie" rozpowszechniło się tak szybko, wrosło tak głęboko nieraz nawet w szerokie umysły i gorące serca, że ta niewiara w możliwość powodzenia stała się wkrótce podstawą mas, ideą aktu wiary politycznej, obowiązującą doniedawna wszystkich, a dziś jeszcze olbrzymią większość.

Przypisywany przez legiendę Naczelnikowi okrzyk *finis!* stał się po latach kamieniem staczającym się z wyżyn społecznych i umysłowych na głowy marzących o możliwości niezależnego bytu. Potem, gdy ze śmiertelnem westchnieniem mohikanina ostatniego wybuchu wytchnęła ducha jego szlachta, nikt nie przypuszczał, nikt nie chciał wierzyć, by tensam w swej najgłębszej istocie duch mógł się zczasem wcielić w inną, stokroć liczniejszą potęgę — w ciemnego zupełnie podówczas, a dziś ledwie jak cyklop jednookiego, ale silnego jak on olbrzyma.

Tak się jednak stało.

Świeżo przeżyte doby pierwszych drgnięć zaświadczyły wymownie, że to był nie wytrysk mętnego źródła, ale zakołysanie się niezmierzonego morza.

Kto kipiał w tej fali! Dość przypomnieć sobie brzmienie nazwisk niezapisanych w herbarzu, by przekonać się, że rylec nowożytnej historyi przeszedł z delikatnych w spracowane ręce.

Świeżo minął czas, kiedy zabłąkany do nas wędrowiec mógł pytać:

Czy to maki zakwitały na bruku, czy to krasne róże splotły konary przydrożnych drzew osad i wiosek?—tak było w kraju różowo... Czy śpiewające macie mury, grające pola i lasy? — tak od krańca do krańca leciał wstrząsający starem życiem śpiew...

Dziś zwinęły się w sobie purpurowe kwiaty, jak się stulają kielichy czułków przed nadejściem nocy — czyż to znaczy jednak, że zwiędły bezpowrotnie? Urwała się na ustach pieśń—czy to znaczy jednak, że nie huczy nadal we wściekłej z męki piersi?

Słońce wschodzące zaciągnęło się w chmury—czyż to znaczy jednak, że zagasło i nigdy już nie wstanie? —

Nie!

Wszystko to znaczy tylko, że się przerachowały nieuzasadnione lekkomyślnych nadzieje. Żeśmy pragnęli nabyć niżej ceny kosztu niemożliwie tanio rzeczy, które zawsze wszędzie drogo bardzo kosztują

i tak tylko opłacone posiadają wysoki gatunek i trwałość niepoślednią.

Ale myśmy nie zyskali istotnie nic?

Przeciwnie.

Choć atmosfera jest groźna — przecież wolno znacznie lżej oddychać, niż przed kilku laty, — łatwiej się poruszać, wyraźniej mówić. A co najważniejsze, żeśmy już zduszeni na letarg w milczącej mogile nabrali w płuca świeżego powietrza, zaczerpnęli w pierś zapas tchu, którego nic odebrać nie zdoła. To wszystko zyskaliśmy od jednego drgnięcia jeszcze jednookiego olbrzyma.

Więc nie jest to wcale *finis*, ale dopiero *initium* odradzającego się narodu, nie finał, ale dopiero introdukcya zmartwychwstania.

Mamy więc nadzieję, i nietylko ci, co nie tracili jej nigdy, — ale mają ją także najzawziętsi jej grabarze. Beznadziejnej bowiem sprawy nikt nie ściga, nikt się jej nie boi, nikomu ona snu nie odbiera. Ta zaś sprawa wywołuje istne konwulsye gniewu, popłoch i niepokój.

Mobilizują się wielkie siły na zagładę nadziei, jakby w przeczuciu, że to nie ona, ale one giną. A im bardziej się srożą, tem przyśpieszają i gotują sobie straszliwszy zgon. — Bo niezłomna jest przeniknięta nią dziś siła, prężna i nieuchwytna jak powietrze, jak gaz, który można otoczyć żelaznym kożuchem i póty tłoczyć i uciskać, aż powłoka pęknie. Można ją udeptywać, jak ogień w torf, by się paliła coraz głębiej do dna, aż pożarem wybuchnie. I gdy się wszystko to czyni, można gryźć z powodu tylu cierpień, można gorzeć z oburzenia—ale niemożna mówić o utracie nadziei, lecz jedynie się sprzeczać o terminach jej spełnienia, o środkach, o drogach, o tych różnych załamaniach i skrętach, którymi kres swój osiągnąć musi, równie pewnie, jak rzeka, znaleźć ujście w morzu, i nic jej w tym biegu wstrzymać nie zdoła.



HENRYK STAP

Pewność

Człowiek, który dużo lub wszystko stracił, może mieć nadzieję odzyskania tego, co postradał, lub być tej nadziei pozbawionym, t. j. może spodziewać się zdobycia dóbr utraconych lub nie. Ziszczalność

zaś lub niezniszczalność nadziei polega na umiejętności wynalezienia i użycia środków do celu prowadzących. Bez myślenia o tych środkach, bez wprowadzania ich w życie, bez czynu — nadzieja jest tylko chimerą chorej wyobraźni, prowadzącą do ostatecznego zaniku wszelkiej energii, do leniwego przejadania życia — przy braku płodnej myśli o przyszłości. „Wiara bez uczynków martwa jest", a przymówisko ludowe: „nadzieja – matka głupich", dosadnie charakteryzuje karmiących i karmiących się *samą* nadzieją, jako źródłem wszystkich dóbr przyszłych, wszystkich „pieczonych gołąbków". Liczenie na coś, „co się stać musi" bez naszego udziału, na „jakoś to będzie", tak charakterystyczne u nas szczególnie w dobie dzisiejszej, jakaś bezmyślna wiara w cud – dowodzi napozór, że naraz przestaliśmy mieć podstawę do uzyskania tego, o czem zaledwie samą nadzieję żywić śmiemy. Bo trzeba to wyznać: gdy pozostaje tylko nadzieja — nie pozostaje już nic.

Czy więc jesteśmy jedynie dziećmi nadziei?

Gdy w przemianach czasu nastąpiły przemiany u nas – przemiany nader istotne, bo w samodzielność państwową godzące, nie poddawaliśmy się wiekowej rozpaczy, której wynikiem mogło być zwątpienie lub — nadzieja, jeno tworzyliśmy lub tworzyć usiłowaliśmy przemiany nowe, przywracające nam to, cośmy utracili. Oczywiście, czyniliśmy to z nadzieją dobrego skutku, ale nie byliśmy jej synami, lecz twórcami. Pobudką prac zawsze była pewność służenia dobrej sprawie, zasadniczość pragnień, podstawność żądań. Tej pobudki nie zabiły niepowodzenia i zawody; przeciwnie, czyniły ją one czujniejszą, prężniejszą, nigdy nie odwodząc od usiłowań może coraz trudniejszych, lecz zarazem może coraz odporniejszych i intensywniejszych. Tak pozostaliśmy sami sobą, ci-sami w najważniejszych pozycyach życia. Jeżeli zaś dowodem istnienia jednostki dla niej samej, dowodem bezwarunkowej konieczności tego istnienia – jest poczucie jej odrębności od otoczenia, inności, to tenże dowód z równą szansą da się zastosować do całych społeczności. A naród, zachowujący, mimo wszelkie przeszkody i tamy, wyraźną swą odrębność, indywidualność, nierozpływający się w innem środowisku mimo wiekowe ku temu parcie, lecz owszem istniejący sam w sobie – oddzielnie i niezawiśle – nawet po zdarciu zeń państwowości i mimo zewnętrzne naciski niekiedy zapierające oddech swym ciężarem, temsamem daje dowód niepożytej żywotności, która nie może być startą w proch i rzuconą na wiatr.

Jest więc zasadniczość pragnień, podstawność żądań, i tej zasadniczości, tej podstawności żadna moc złamać nie potrafi, są to bowiem rzeczy naturalne, przyrodzone. Stąd też i owe pragnienia tak zasadnicze, i owe żądania tak podstawne nie mogą być ani nazawsze bez zaspokojenia zgaszone, ani żadną mocą zwalczone, gdyż są one rezultatem przyrodzonego prawa do życia, nie zaś następstwem jakiejś umowy międzyludzkiej, której trwałość mierzy się trwałością i rodzajem międzyludzkich stosunków. Tu zaś miara przekracza zakres ludzkich docierań, nakazów, mocy fizycznej, traktatów, pozostając w sferze natury, której prawa do układu czasowych stosunków gromad człowieczych — nadto układu, będącego częstokroć skutkiem interesów jednostek — naginać się nie dadzą. Na tem też polega bezwarunkowa, nieulegająca wątpliwości konieczność odrębnego istnienia, znajdująca wyraz w przyrodzonem poczuciu tej odrębności, inności. Poczucie to nawet może być zatraconem w jednostkach, jest ono natomiast wiecznietrwałe w masach, spojonych jednolicie językiem, wierzeniami, podaniami, obyczajem i całą wogóle wspólnotą życia. Środki wynaradawiania najbardziej przymusowe nigdy jeszcze nie dopięły zamierzonego celu, będąc sztuczną, a więc względnie słabą i zgóry na pokonanie skazaną próbą pobicia siłą ludzką niepokonanego, bo naturalnego, prawa do istnienia. Temwięcej — że, o ile zawsze akcya rodzi reakcyę, w tym wypadku każda akcya zastaje gotową już reakcyę, jednocześnie wysuwaną przez niedającą się zgnieść przyrodę. Najszczelniejsza pokrywa nie zamknie nagromadzonej w najtęższym kotle pary. Owszem, im pokrywa będzie szczelniejsza, im ściany kotła — nieprzenikliwsze, prężna siła pary jakgdyby się podwoi, potroi... kocioł pęknie. Czy tu para będzie pierwiastkiem buntowniczym? Nie. Wypełni ona tylko żywiołowe prawo przyrody. Buntownikiem zaś przeciwko ostatniej będzie niefortunny gwałciciel pary, usiłujący ją zamknąć— wbrew wiekowemu doświadczeniu — w środowisku nieodpowiedniem, ograniczyć jej prężność, działalność, zniszczyć indywidualną moc, pozbawić jej energię ujścia. Toteż — miast powodzenia — zapewne ze zdumieniem ujrzy wręcz odmienne skutki pomysłu swego. Ale minęły już czasy, kiedy wolno było nieznać elementarnych zasad, na jakich opiera się każde życie. Dziś takie nieuctwo to zgubny anachronizm, prowadzący do następstw coraz groźniejszych.

Niedosyć jednak wypełnienia pierwszej części nakreślonego przez

naturę zadania. Wyzwolona para ulata i, swobodnie odrzucając kształty narzucone, zmienia formę, ustrój — już zgodnie z prawami przyrody. Nic tego pędu zahamować nie może: nawet wykonywana po drodze praca dla dobra ludzkości. Jest to bowiem mus — konieczność nieodwołalna, nieprzeparta. Toteż wiemy, że każdy byt musi mieć w pojęciu naszem określony kształt, formę, ustrój — dopóty zmienny, dopóki najlepiej odpowiadać nie będzie samemu bytowi i jego potrzebom. Kształt ów, forma, ustrój jest konieczny wskutek nieprzełamanych wymagań tak wewnętrznych, jak zewnętrznych. Niezbędność załatwień kulturalno-rozwojowych i gospodarczych łączy się z niezbędnością stosunków z innymi ustrojami. Tak gromady ludzkie rządzą się same w sobie i załatwiają sprawy pomiędzy sobą — tu i tam przez odpowiednie, wyłonione z siebie, rozumem swoim i wolą, organy. W innych wypadkach powtarzać się musi historya pary przepełniającej zamknięty kocioł.

Stąd właśnie wynika zarówno wspomniana zasadniczość pragnień i podstawność żądań, jak niezbędność opartych na nich a usilnych prac, konieczność nieopuszczania rąk, tudzież obowiązek odrzucenia jałowych zawsze lamentów, jałowego zawsze oglądania się na inne gromady lub równie jałowego przekarmiania się bezwolną i bezczynną nadzieją. Na sztandarach widnieć ma nie nadzieja, lecz pewność; nie powinniśmy być dziećmi nadziei, lecz jej twórcami; nie mamy iść naprzód frazesem, leez myślą i czynem; musimy nietylko przekonywać, lecz przekonać, stojąc mocną stopą na pewnym gruncie przyrodzonych praw swoich, które przez nikogo nie mogą być nigdy przeinaczonemi ani obalonemi. Prosta, jasna i niezawodna droga.

Jest fatalna pora przypominania prawd tak pewnych, jak niezawodne są cięcia miecza doświadczonego w bojach wojownika; jest fatalna pora czynienia porachunków pojęć ubiegłych i bieżących; jest fatalna pora wykazywania błędów minionych i zamierzanych. Czyż wiecznie chadzać będziemy chmurnemi i omylnemi a krętemi drogami nadziei, pełnemi wybojów i kałuż? Czyż nie wstąpimy na równe i gładkie, proste i czyste, osłonecznione gościńce pewności?...





ARTUR ŚLIWIŃSKI

Mochnacki jako publicysta

W dwóch epokach pisał swoje prace publicystyczne Mochnacki, i na dwa okresy publicystykę jego możnaby podzielić. Kiedy w podziemiach buntu gromadziły się materyały palne, kiedy później nastąpił wybuch i przyszły dni upragnionej walki, słowa Mochnackiego nawoływały do czynów i w czynach szukały wcielenia. Mochnacki szedł wtedy o krok naprzód przed armią przewrotu, najwyżej wznosił sztandar niezadowolenia i najgłębiej, a zarazem najgoręcej bronił zasad spiskującej młodzieży. Na emigracyi znakomity publicysta w innym ukazuje się charakterze: zmiana warunków wpłynęła na zmianę stanowiska.

Jedną z najznakomitszych prac Mochnackiego w pierwszej epoce było pisemko p. n.: „Głos obywatela z Poznańskiego". Ów „Głos", napisany w roku Sądu Sejmowego, krążył w licznych odpisach jako wyraz opinii patryotycznej Warszawy. A chwila była niezwykła. Na ławie oskarżonych siedziało ośmiu członków Towarzystwa Patryotycznego, a los ich spoczywał w rękach senatorów polskich. Wyrok potępiający miał być dowodem lojalności, stwierdzeniem faktu, że Polacy, dzierżący resztkę pozostawionej im władzy, godzą się iść pod komendę Nowosilcowa. Wprawdzie twórcą tego sądu był potężny minister Lubecki, ale za Nowosilcowem stał W. Ks. Konstanty i całą potęgę swojego wpływu, cały swój gniew cisnął na ważące się szale sprawiedliwości sądowej.

Oczy całej Polski zwróciły się na ławę oskarżonych.

Kto zwycięży? Książę Konstanty, czy ci, co tuż pod jego bokiem tworzyli występne związki?

Senatorowie mieli dać odpowiedź. Senatorowie mieli stwierdzić, jaka jest „dobrze myśląca“ opinia kraju. Senatorowie mieli rozwiać nadzieje spiskowców, przekonać, że ich knowania natrafią na żelazny odpór ze strony władnej jeszcze części społeczeństwa polskiego, lub też wyrokiem swoim napiętnować Nowosilcowa, rozbudzić przyczajony gniew W. Księcia i usankcyonować zbrodnię stanu. W gorączkowem naprężeniu czekała rozpraw sądowych Warszawa. Z dnia na dzień rósł niepokój i tembardziej wzmagała się obawa, że strwożona opinia nie śmiała przeciwstawić się Konstantemu i stanąć otwarcie po stronie oskarżonych. Lecz to, czego obawiano się dokonać jawnie, uczyniono w drodze konspiracyjnej: ukazały się bezimienne pisemka, jadowite, złośliwe, zuchwałe i lotne. Sród nich powszechną uwagę zwróciło na siebie pismo, wystosowane pod adresem senatu Królestwa Polskiego a zatytułowane: „Głos obywatela z Poznańskiego“. Zachodzono w głowę, ktoby mógł być autorem, a domysłom i przypuszczeniom nie było końca.

Praca ta, jak zresztą wiele innych, które wyszły z pod pióra Mochnackiego, obok swej doniosłości politycznej posiada wielkie zalety literackie. W utworze tym jak w żywym organizmie tłucze się serce wrażliwe, niespokojne, drżące, skarży się niedola i męskim energicznym tonem przemawia podeptana godność. Co mógł czuć i myśleć Mochnacki, prześladowany widmem powroza, grożącego towarzyszom, to wyraziło się w jego piśmie. Wyrok potępiający nazwał zgóry „zbrodnią“ i „szatańską niegodziwością“, ale nie uprzedzał wypadków i przedewszystkiem do serc senatorów kołatał. A kołatał przedziwnie, pomistrzowsku, gienialnie. Pytania jego musiały zastanawiać i wstrząsać. Mochnacki w takiej chwili nie błagał i nie zaklinał, ale pytał np. sędziów, kto po wyroku potępiającym mógłby jeszcze miłować Ojczyznę? Dziwne pytanie, ale któż nie zadrżał, czytając taką mowę, któryż z sędziów mógł ją obojętnie traktować? Wyrok potępiający! „Jużby wtenczas śmiało rzec trzeba, — pisał Mochnacki — że nie na sejmie grodzieńskim, kiedy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej działa i sprzęty wojenne obrócili przeciw izbie radnej panów, nie pod Maciejowicami, ani w falach Elstery, ale teraz, wobec was, na Sądzie Sejmowym, Polska zginęła!“

„Głos obywatela z Poznańskiego“ ujawniał to, co czuła rzesza sprzysiężonych i współwinnych, a zarazem był sygnałem ostrzegaw-

czym, śmiało wzniesionym nad otchłanią hańby, jaka się otwierała pod stopami sędziów, gdyby zwycięstwo odniosła małoduszność. Wrażenie było wielkie. Biskup Woronicz, dowiedziawszy się, kto jest autorem tej płomiennej odezwy, ze łzami w oczach ściskał i błogosławił młodzieńca. A Woronicz należał do składu sędziowskiego. Co o tej odezwie myśleli inni senatorowie, rzecz niewiadoma. Oczywiście, nie mogła mieć ona wpływu decydującego na obradujących sędziów. Ulegli oni z wyjątkiem smutnej pamięci hr. Krasińskiego opinii powszechnej, ale nie zmniejsza to w niczem znaczenia pracy Mochnackiego. „Głos obywatela" był najsilniejszym wyrazem tej opinii, szczytem, na jakie się wzniosło dławione uczucie.

Już ta pierwsza praca zapowiadała niezwykły talent publicystyczny autora.

„Nowa Polska" w całej rozciągłości zapowiedź tę miała potwierdzić.

Artykuły Mochnackiego w tem piśmie, które najwięcej uczyniły hałasu, śmiało wzywały do rewolucyi socyalnej. Krwawy koszmar tej rewolucyi płoszył sen z powiek spokojnych obywateli, niepokoił członków rządu, prześladował konserwatywnych posłów. Groźne sceny, dobrze znane współczesnym z historyi rewolucyi francuskiej, przerażały stronników istniejącego stanu rzeczy i do żywego niepokoiły umiarkowaną opinię. Czemże jednak była ta rewolucya socyalna, której teorye w „Nowej Polsce" rozwijał Mochnacki, a którą w sejmie propagował najgorętszy rzecznik uwłaszczenia ludu, Olrych Szaniecki? Ci dwaj ludzie, reprezentujący najskrajniejsze prądy społeczne swojej epoki, żądali zniesienia pańszczyzny i nadania włościanom ziemi na własność. Oto, do czego dążyli, oto jak rozumieli rewolucyę socyalną. Byłże to przewrót tak wielki? Wszakże za zniesieniem pańszczyzny przemawiali nawet ministrowie Biernacki i Niemojowski — wszakże ku myśli tej skłaniało się wielu posłów i dalej patrzących obywateli. Nadanie ziemi na własność po zniesieniu pańszczyzny nie było już krokiem zbyt gwałtownym, i ta myśl zresztą miała zwolenników w umiarkowanym odłamie sejmowym. Ale same słowa „rewolucya socyalna", ale energiczne akcenty w mowach Szanieckiego, w artykułach, które drukował w „Dzienniku Powszechnym", ale wrząca namiętność i niepohamowany temperament Mochnackiego, ale płomienie niezadowolenia, ziejące ze szpalt „Nowej Polski", słowem, sama for-

ma więcej, niż treść, budziła zimny lęk i nieufność. Z dreszczem grozy i wstrętu myśleli członkowie rządu o „Nowej Polsce“. I nie było takiego błota, nie było tak wstrętnych zamiarów, którychby nie przypisywano znienawidzonemu dziennikowi. Nawet czas nie udobruchał tych, których Mochnacki w ogniu krwawego szyderstwa prażył na łamach „Nowej Polski“. Oto jak scharakteryzował ją już na emigracyi jeden z członków rządu:

„Literatura nasza nic podobnego nie znała... Wszystko w nim (dzienniku) dążyło do tego, aby zelżyć, sponiewierać, błotem obrzucić wszystko, co w kraju wyższe było zasługami, cnotami, rozumem, imieniem i majątkiem odznaczało. Wszystkie środki uznano ku temu za dobre i godziwe: celem było, żeby namiętności wywołać i podburzyć, niezgodę zasiać, anarchię i piekło domowe wprowadzić. Nic nie poszanowano: ani religii, ani cnoty, ani prawa, ani reputacyi, ani honoru [1])“...

Oto co mówił Barzykowski o jednem z najświetniejszych dzienników polskich, o organie Mochnackiego, Lelewela, Artura Zawiszy, Goszczyńskiego, Zaleskiego, Nabielaka! „Rewolucya socyalna“, jak widać z dzieła Barzykowskiego, i na emigracyi nie dawała członkom rządu spokoju...

Zasady tej rewolucyi najlepiej charakteryzuje świetny artykuł Mochnackiego; „Być albo nie być“.

„Kościuszko — powiada Mochnacki — był poczciwym Polakiem, był walecznym rycerzem, lecz źle rozumował... Polska potrzebowała rewolucyi socyalnej; on jej nadał charakter ekscentryczny. Kościuszko zgubił Polskę!“

— Potrzeba się uzbroić! — wołano dookoła.

— „Potrzeba się uzbroić“, — powtarzał z piekącą ironią Mochnacki i przypominał, że to samo mówił Kościuszko, a jednak Polska zginęła.

„Potrzeba się uzbroić! Czyż się od dwóch miesięcy nie uzbrajamy? Potrzeba poruszyć masy, trzeba powołać do życia miliony, a one się same uzbroją“.

Ta myśl była główną troską Mochnackiego. Poruszenie mas najszerszych było jego najgorętszem pragnieniem i ostatecznym celem usi-

---

[1]) „Historya Powstania Listopadowego“ przez Stanisława Barzykowskiego. Tom II, str. 84.

łowań. Aby osiągnąć ten cel, ciskał gromy i na gromy własną głowę narażał, wyśmiewał, szydził, z ognistym impetem atakował szańce swoich przeciwników. Bez reformy włościańskiej, wołał, niemożna mas poruszyć. Dlatego też „rewolucyę socyalną", która się całkowicie w granicach tej reformy mieściła, uważał za rzecz konieczną i nagłą. W myśl tych samych zasad pisał po kilku miesiącach w „Dzienniku Krajowym", że dzielny żołnierz nie jest jeszcze wszystkiem, że tylko wojsko, widzące wkoło siebie masy i z mas tych czerpiące moc wewnętrzną, może walczyć zwycięsko...

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Mochnacki, członek T-wa Patryotycznego, nie pod wpływem chwili dążył do polepszenia doli ludu wiejskiego, ale jednocześnie ta „rewolucya socyalna" była w oczach jego jednoznaczna z odniesieniem zwycięstwa.

Obok tego hasła, które tyle narobiło hałasu, rzucał Mochnacki sporo myśli, niemniej zasługujących na uwagę. On pierwszy scharakteryzował „utopię słowiańską" i wykazał dobitnie, dlaczego dążenia słowiańskie muszą pozostać utopią. Trybun ludowy był konsekwentny i w polityce nazewnątrz. Opierając się na ludzie, rozumiał dobrze, że ideały ludowe nie mogą znaleźć uznania u obcych rządów. Więc potępiał zarówno „nadzieje słowiańskie", jak wszelkie machinacye dyplomatyczne, starał się zedrzeć łuskę z oczu dyplomatów, wierzących w pomoc gabinetów zagranicznych.

„Wzywając litości gabinetów, przepomnieliśmy, że prosimy ich o to, czego się najmocniej obawiają, co im niepochybną rokuje zgubę; że prosimy ich o Polskę"...

I wykazywał, że Polska zwiastuje upadek społecznego porządku feudalnej Europy.

„Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami!"

Wprawdzie już Brodziński w słynnej swej mowie na ostatniem posiedzeniu T-wa Przyjaciół Nauk tę samą myśl wypowiedział, ale Mochnacki pierwszy ją rozwinął i sformułował. Hasło to nie przykuło na razie powszechnej uwagi, wszakże później, na emigracyi, wrosło we wszystkie serca i stało się katechizmem, ewangielią wychodźców. Ale Mochnacki, idący naprzód, wtedy inne już rzucał hasła i walczył z nowem złudzeniem.

Wydawana w Zakroczymiu „Gazeta Narodowa" była zakończe-

niem działalności publicystycznej Mochnackiego w kraju. W chwili powszechnego zwątpienia i upadku talent jego rozbłysnął jak świetna gwiazda nadziei, ale smutne wypadki zgasiły ją niebawem i zmusiły Mochnackiego do złożenia oręża, jakim było jego świetne, nieporównane pióro.

Zaledwie szersze koła emigracyi zgromadziły się w Paryżu, zaczęło się poszukiwanie winowajców. Przyszły dni sądu. Wysoko wzniesione fale zrozumiałego rozgoryczenia znalazły niebawem ujście w krytyce, pełnej jadu i złośliwości. Ciężar winy przesuwano z ramion na ramiona. Każdy starał się zmniejszyć własną odpowiedzialność i straszne brzemię klęski zrzucić na barki swych przeciwników. Mochnacki usuwał się zwolna od waśni emigracyjnych, ale zarówno w słynnem swem dziele „Powstanie Narodu Polskiego", jak w artykułach, drukowanych w „Pamiętniku Emigracyi", smagał dyplomacyę polską, sejm, dyktatora, wodzów, wykazywał niedołęstwo i nieudolność, małoduszność i niezrozumienie sytuacyi przez sfery kierownicze. Jeśli dawniej pisma jego nawoływały do czynu i grzmiały, jak surma bojowa, to teraz w śmiałych, jaskrawych barwach odtwarzały niedawną przeszłość, stawały się wyrzutem sumienia i palącym wstydem.

Powoli i w przekonaniach Mochnackiego zachodzi ewolucya.

Nie przyłącza się on do obozu Czartoryskiego, ale i nici, łączące go z byłymi członkami T-wa Patryotycznego, zaczynają pękać. Dawni towarzysze gromadzą się pod sztandarem T-wa Demokratycznego, Mochnacki nazywa ich sektą i występuje nawet w obronie Czartoryskiego przeciw jen. Dwernickiemu. Rewolucya socyalna nie przestaje być jego hasłem, ale samo hasło traci swoje akcenty śmiałe, ostre, gwałtowne. Zmiana staje się widoczną. Tak np. w „Nowej Polsce", we wspomnianym już artykule „Być albo nie być" dowodził Mochnacki, że Kościuszko zgubił Polskę, bo „nie chciał przemienić większości w naród przez wzgląd na mniejszość", a w parę lat potem starał się wykazać, że „jedyny środek insurekcyi, jedyny środek poruszenia ludności są właściciele ziemscy". I dowodził, że nie może być zbawienną polityka, która obraża „mogących i chcących powstać".

Pomiędzy redaktorem „Nowej Polski" a współpracownikiem „Pamiętnika Emigracyi" niejednokrotnie już starano się nawiązać łączność

wykazać, że Mochnacki we wszystkiem pozostał wierny dawnym przekonaniom. Kontrasty są jednak zbyt rażące, aby bez naruszenia prawdy można łączność taką stworzyć. Dość porównać ze sobą to, co w tych dwóch epokach pisał o Kościuszce, o T-wie Patryotycznem, o nocy 15 sierpnia, aby dojść do przekonania, że ostrze radykalizmu społecznego stępiło się na emigracyi.

Krytykując T-wo Demokratyczne, nie zbliżał się jednak do obozu Czartoryskiego. Występował w jego obronie, to prawda, zbudował teoryę absolutyzmu, i to też prawda, ale niesłusznie na tej zasadzie następcy Czartoryskiego zaprzęgli go już po śmierci do obozu konserwatywnego. Nic fałszywego nad to mniemanie! Absolutyzm Mochnackiego dotyczył rewolucyjnej władzy wykonawczej w przyszłem powstaniu, obrona Czartoryskiego była obroną osoby, lecz nie systematu, jaką b. prezes rządu reprezentował, a środki walki, jakie wskazywał Mochnacki, nie miały nic wspólnego z nadziejami obozu, na którego czele stał ks. Czartoryski.

Czartoryski działał na drodze dyplomatycznej, a Mochnacki jedyne zbawienie widział w nowej walce, wierzył w niezmierny opór ludu i w ostatniej swej pracy wyraził przekonanie, iż najoświeceńszy i najłagodniejszy naród Słowiańszczyzny będzie się musiał uciec do środków wojowania „godnych Atylli i Dżingischana“.

Nic podobnego nie postało w głowie księcia-dyplomaty.

Miał pewną słuszność Nabielak, gdy w liście swoim gromił dawnego towarzysza [1]), ale niesłusznie zaliczono później Mochnackiego do zwolenników ks. Adama.

Mówiąc jednak o działalności Mochnackiego na emigracyi, przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na dwie jego idee, które mogły mieć olbrzymie znaczenie dla wszystkich żywiołów emigracyjnych.

Kiedy po upadku powstania tysiące rozbitków posunęło się na zachód, we wszystkich krajach witano ich z zapałem i entuzyazmem. Ludy Europy Zachodniej prześcigały się w składaniu dowodów sympatyi. W Niemczech witano emigracyę kwiatami i pieśnią legionów, a Francya na wieść o poddaniu Warszawy zadrżała, jakgdyby śmier-

---

[1]) L. Nabielak. Do Maurycego Mochnackiego z powodu pism auxerskich. Paryż, 1834.

telnym ugodzona grotem. W Paryżu lud żądał niezwłocznej interwencyi zbrojnej na rzecz Polski i okrzykami groźby, skierowanemi przeciw królowi i ministrom, a później budowaniem barykad wyrażał swoją wolę. Wprawdzie do nowej rewolucyi nie doszło, ale gdy wychodźcy polscy zaczęli przybywać do Francyi, entuzyazm ludu z nową wybuchnął siłą.

I wszędzie sprawę polską zespalały ludy ze swoją własną sprawą i wszędzie mówiły to samo przez usta najgodniejszych swych przedstawicieli. Z postawą ludów musiały liczyć się niechętne Polakom rządy. Emigracya nasza szybko zoryentowała się w sytuacyi i oto wszędzie, gdzie przebywali Polacy, rozległo się rzucone niegdyś przez Mochnackiego hasło:

„Nie gabinety, ale ludy są naszymi sprzymierzeńcami".

I wołano, że sprawa ludów jest sprawą polską, że ludy podźwigną Polskę z upadku.

Wiara ta była niemal powszechna, a trwając lat kilkanaście, przeniknęła do publicystyki i filozofii i poezyi, stworzyła cały świat teoryj i uczuć. Mochnacki nie poddał się ogólnemu prądowi. On złudzeń nie miał. Więc gdy zaczęto oglądać się na ludy Europy, pierwszy uderzył na alarm. Wprawdzie przed nim jeszcze Mickiewicz wypowiedział w „Pielgrzymie Polskim", że całą rachubę należy opierać na siłach własnych, ale zdanie Mickiewicza Mochnacki rozwinął i podniósł do znaczenia idei.

„Pomoc ludów — pisał — jest równie problematyczną, równie pełną zagadek, jak pomoc rządów... Daleko mądrzej, daleko bezpieczniej powiedzieć nareszcie samym sobie, powiedzieć po raz pierwszy od lat stu: rachujmy na wszystko, co wypaść może, ale się na nic nie spuszczajmy i nie wierzmy w nic, tylko w samych siebie. Naród, który nie przestał być narodem, który jeszcze chce być narodem, w jakimkolwiek stanie się dziś znajduje, tylko sam siebie ratować może"...

I wołał Mochnacki, że „gieniusz Polski wynajdzie dla jej zbawienia inną nieznaną jeszcze wojnę", inne nieznane jeszcze środki wojowania.

Trzeba było długich lat tułaczki, trosk, zawodów i upokorzeń, aby rozwiały się nadzieje, pokładane w obcej pomocy, aby siły potrzebnej nie w okolicznościach zewnętrznych, lecz w sobie szukać zaczęto, trzeba było długich lat, aby znowu padły te same słowa.

I jeszcze jedną wielką myśl rzucił Mochnacki:

„Podług nas trzeba wynaleźć władzę dla insurekcyi, a zatem władzę, której pierwszym charakterem powinna być możność nawiązania stosunków z narodem"...

Doniosłość tych dwóch idei ocenić można tylko na tle prądów, nurtujących ogół emigracyjny. Ten ogół istotnie wierzył najgłębiej, że Europa ludów lub Europa gabinetów wydźwignie Polskę, lub conajmniej pomoże do jej wydźwignięcia. Ale niedość na tem. Ten ogół, działając dla Polski, mówiąc o Polsce, tęskniąc do Polski, zapominał o tem, że działalność emigracyjna, niezwiązana z działalnością w samym kraju, nie może być owocodajną. Płynęły tygodnie, miesiące i lata, wychodźcy czekali powszechnej rewolucyi, a czas biegł, nadziei nie ziszczał, ale te nadzieje tak głęboko zapadły w dusze, że zdawało się, iż nic ich rozwiać nie może.

Gieniusz Mochnackiego pierwszy otrząsnął się ze złudzeń, pierwszy próbował zniweczyć wiarę w problematyczną pomoc Europy i pierwszy wskazał drogę, którą wytknęło sobie zczasem „Stowarzyszenie ludu", a którą poszli później tacy działacze i bohaterzy, jak Seweryn Goszczyński lub Szymon Konarski.

Obie te idee są koroną działalności publicystycznej Mochnackiego na emigracyi, obie najdobitniej wyrażone zostały w ostatniej jego pracy, pisanej na kilka tygodni przed śmiercią.

Wszystkim pismom Mochnackiego przyświecała jedna wielka myśl, jedna wielka idea. Do celu, który mu ta idea wskazywała, szedł wytrwale i śmiało. Powalony i zdeptany przez przeciwników, nie załamywał rąk z rozpaczą, nie wyrzekał się niczego, lecz podnosił się natychmiast i w kłębach dymu kadzidlanego lub w nowych płomieniach niechęci szedł znowu naprzód, straszny, niezłomny, niepowstrzymany. Duch Mochnackiego pozostał żywym i żywotnym. Z epoki, w której żył, tysiące dzieł pogrzebano w otchłani niepamięci, ale i w tej otchłani prace Mochnackiego błyszczą, jak najpiękniejsze dyamenty.

Najwyższa pora zmieść z tych klejnotów pył półwiekowej obojętności i w całym blasku wydobyć je na światło dzienne!

Mnóstwo zarzutów czynili Mochnackiemu pisarze współcześni,

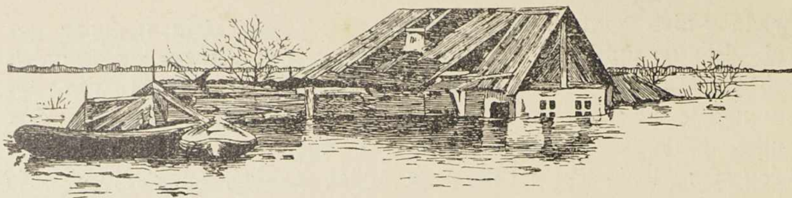
a wielu z nich zgodnie zarzucało mu przedewszystkiem nadmiar ambicyi. Istotnie ambicyę miał wielką, ale była ona jednym z najcenniejszych przymiotów, bo zawsze z wielką łączyła się ideą. Ta idea dopiero nadaje właściwy wyraz i wyolbrzymia spiżową postać nieustraszonego działacza i znakomitego pisarza. Ideę swoją w kilku słowach streścił sam Mochnacki, i całe jego bujne, płodne, a tak młode życie zawiera się w tem jednem wyznaniu:

„Polska niepodległa i potężna była jedynym romansem mojej młodości“...

W nadchodzącą 75-tą rocznicę zgonu wielkiego publicysty te słowa, jako najlepiej charakteryzujące ich autora, złotemi głoskami można by wyryć na jego grobowcu.



H.M.



JERZY HUZARSKI

Problemat emigracyjny w kwestyi żydowskiej

Najpoważniejszą tamą na drodze do kulturalnego podniesienia mas żydowskich jest ich nędza.

Dziś olbrzymia większość żydów stanowi w strefie osiadłości wynędzniały do ostatka proletaryat, żyjący niewiadomo jak, niewiadomo z czego; przytem z dniem każdym nędza mas żydowskich wzrasta. Jest to nieuniknione następstwo rozwoju kapitalizmu w Polsce oraz zbytniego nagromadzenia się żydów w ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

W ciągu szeregu stuleci Polska była głównym przytułkiem uciekających z Zachodu żydów. Poczynając od epoki wojen krzyżowych każdy kataklizm w dziejach żydów Zachodu — a kataklizmów tych było tak wiele! — wzmagał emigracyjny potok, spędzał do Polski coraz liczniejsze rzesze. Tu od XVI-go w., t. j. od czasu, kiedy oddali się pod bezpośrednią opiekę szlachty, działo im się nieświetnie, ale bądźcobądź lepiej, niż na Zachodzie. Obdzierani przez szlachtę, obdzierali wiejski lud, pielęgnowali kult — Jehowy na niebie, Złotego Cielca na ziemi i... żyli.

Ale wraz ze zmianą systemu gospodarki idylla musiała się skończyć, w miarę rozwoju kapitalizmu musiała stać się tragiedyą. Powstanie racyonalnego gospodarstwa wiejskiego po uwłaszczeniu chłopów usunęło grunt z pod nóg wszystkich tych żydów, którzy mogli

istnieć dotychczas, jako jedyni przedstawiciele gospodarki pieniężnej wśród gospodarki naturalnej. Rozpoczęła się ucieczka do miast gdzie, jak okazało się, żydzi wpadli z deszczu pod rynnę. W miastach handel żydowski przechodził nader ciężki okres z powodu konkurencyi z nowopowstającym handlem i przemysłem polskim; żydzi tracili jedną placówkę po drugiej, nie zyskując wzamian żadnych nowych. W tych warunkach przybysze ze wsi nie mogli znaleźć po miastach pola dla swej działalności handlowej, mogli jedynie zwiększyć jeszcze konkurencyę, zdezorganizować doreszty drobny handel żydowski. I tak się też stało. Obecnie byt żydów w tak zwanej strefie osiadłości jest wprost rozpaczliwy, jest powolnem dogorywaniem i degieneracyą. Olbrzymia większość żydów stanowi jedyną w swoim rodzaju klasę społeczną, którą najsłuszniej byłoby ochrzcić mianem „luftproletaryatu“ [1]). Nie ulega wątpliwości, że podobny stan będzie z dniem każdym komplikować się bardziej. Powstające kooperatywy włościańskie odbiorą utrzymanie tej resztce żydów, którzy czerpali swe zarobki z pośrednictwa między wsią a miastem lub miasteczkiem; rozwijający się wielki przemysł zrujnuje doreszty suchotnicze rękodzielnictwo żydowskie. A nędza i, jako jej wynik, ciemnota nie pozwala masom cywilizować się i wejść w wir kapitalistycznej gospodarki, wytwarza się więc swojego rodzaju *circulus vitiosus.* Ten stan rzeczy jest szkodliwy dla kraju, zbyt biednego, by módz wyżywić tak liczną a nieprodukującą klasę ludności, i zabójczy dla mas żydowskich, które degienerują się, pogrążają coraz głębiej w otchłań nędzy.

Jedynym sposobem uratowania żydów od ostatecznej zagłady, a uwolnienia kraju od nadmiaru nieprodukcyjnych żywiołów staje się emigracya; toteż rozwiązanie ekonomicznej strony kwestyi żydowskiej ściśle jest spojone z uregulowaniem problematu emigracyjnego.

Instynktownie zrozumiały to żydowskie masy, tem łatwiej, że w ciągu długich wieków przyzwyczaiły się chwytać każdej chwili za kij tułaczy. Kiedy więc w smutnej pamięci roku 1881 pogromowy szał ogarnął całe południe Rosyi i część miast Królestwa, grożąc żydowstwu zagładą, już nietylko z nędzy, lecz i od noży siepaczów, kie-

---

[1]) Tak np. w Warszawie na 250 tysięcy żydów zaledwie 10 tysięcy można było opodatkować na rzecz gminy żydowskiej, najniższa zaś składka wynosi 3 rb. rocznie.

dy grabież z ludzi zamożnych zrobiła biedaków, a biedaków zrujnowała doszczętnie,—rozpoczęła się masowa ucieczka ze strefy. Uciekano do Niemiec, Austryi, Francyi, do Anglii i Ameryki — głównie do Ameryki, kraju, o którym wśród żydów krążyły fantastyczne a różowe baśnie.

Początkowo emigracya żydów odbywała się normalnie, a wychodźcy w nowej ojczyźnie wkrótce urządzili się niezgorzej. W Anglii, Ameryce, a nawet we Francyi przy pomocy olbrzymich instytucyj filantropijnych zdobywali znośne warunki bytu, przytem dość szybko cywilizowali się i już w drugiem pokoleniu stawali przykładnymi yanke'sami, anglikami lub francuzami. Nawet kolonie rolnicze, założone przez bar. Hirscha w Argentynie, choć napozór upadły, jednak przyniosły wychodźcom znaczną korzyść. Porzucając pracę na roli, udali się oni do miast Południowej Ameryki, a wobec lenistwa i ospałości ludności miejscowej wkrótce ujęli w swe ręce liczne gałęzie handlu.

Niestety, i tu stan rzeczy począł się po pewnym czasie komplikować. Potok emigracyjny dostarczał Anglii i Ameryce rocznie koło stu tysięcy wychodźców, którzy stali się wkrótce żywiołem niepożądanym dla kraju, a w szczególe dla miejscowego proletaryatu. Pozbawieni w pierwszym czasie po przybyciu środków do istnienia, żydzi imali się wszelkich robót i za wszelką cenę; obniżali płacę zarobkową, utrudniali proletaryatowi walkę o poprawę bytu. Wkrótce rozpoczęła się w Anglii i Ameryce agitacya na rzecz ograniczenia nadmiernego przypływu wychodźców, i puszczono w ruch aparat prawodawczy.

W Anglii przeszedł w r. 1904-ym bill utrudniający imigracyę, w Stanach Zjednoczonych uchwalono szereg przepisów, skierowanych przeciw wychodźcom, a w najbliższej przyszłości spodziewać się należy nowych ograniczeń, jeżeli nie zupełnego zamknięcia Ameryki dla imigracyi. Za ostatnim środkiem energicznie agitują amerykańskie organizacye robotnicze, które przedstawiły nawet zredagowaną w tym duchu rezolucyę socyalistycznemu kongresowi w Stuttgarcie. Wprawdzie kongres uchwały nie zaakceptował, ale mimo to agitacya trwa nadal i doprowadzi niewątpliwie do znacznego ograniczenia imigracyi.

Tak więc problemat emigracyjny staje się dla żydów nowym węzłem gordyjskim. Nędza i prześladowania zmuszają masy żydowskie do gromadnego opuszczania strefy osiadłości; masy chcą wydobyć się z pęt nędzy, lecz nie mają dokąd uciekać, gdyż instynkt sa-

mozachowawczy nakazuje społeczeństwom krajów imigracyi zatamować napływ nędzarzy żydowskich.

Żydowska inteligiencya, a przynajmniej ten jej odłam, który nie mógł spokojnie patrzeć na powolne dogorywanie mas, wydanych na łup nędzy i rzezi, ocenił olbrzymie znaczenie emigracyi. Działacze żydowscy zrozumieli, że uwolnienie kraju od nadmiernej liczebnie klasy „luftproletaryatu“ umożliwi pozostałym żydom znośny byt, pozwoli masom podnieść się ekonomicznie i kulturalnie. Dlatego też żywiołowy ruch emigracyjny powitali oni z uczuciem ulgi i postanowili spożytkować go w celu uregulowania kwestyi żydowskiej. Powstały olbrzymie instytucye filantropijne, których zadaniem było popieranie i regulowanie emigracyi, ułatwienie wychodźcom walki o byt w nowej ojczyźnie: Żydowskie Towarzystwo Kolonizacyjne (ICA), którego kapitał wynosi około 250 milionów franków, Alliance Israélite, wreszcie kolonie założone przez bar. Rotschilda w Palestynie. Powstał wreszcie t. zw. ruch palestynofilski, zainicyowany w epoce pogromów 1881-go r. przez grupę marzycieli żydowskich. Palestynofile (chowewe-cyon) chcieli spożytkować gorączkę emigracyjną w celach wskrzeszenia żydowskiego bytu narodowego i skierować emigracyjny potok do Palestyny, gdzie zczasem żydzi mogliby utworzyć prowincyę autonomiczną. Z marzycielskiego ruch palestynofilski stał się praktycznym, z kółka „zwolenników Syonu“ przeobraził się za sprawą Hertzla i Nordau'a w potężną organizacyę współczesną z własnym bankiem, funduszem narodowym i t. d. Nie poprzestawał już na powolnem zasiedlaniu przez żydów Palestyny, lecz zapragnął odrazu autonomicznej prowincyi i jednorazowego przeniesienia do Syonu wszystkich tych, którym zbyt ciasno jest w „gołusie“ (na wygnaniu).

Wysiłki syonistów, ich dążenia zasługiwałyby na gorącą sympatyę i poparcie, gdyż rozwiązanie problematu emigracyjnego byłoby rozwiązaniem ekonomicznej, a w następstwie i kulturalnej strony kwestyi żydowskiej. Ale—niestety—syonizm z praktycznego ruchu stał się dziś psychozą, zadecydował, że „aut Sion, aut nihil“, a ponieważ sułtan nie podziela poglądów Nordau'a i nie zamierza oddać żydom Palestyny, syonizm ograniczył swą działalność do „wskrzeszania narodowego bytu żydów w gołusie“ i wypisał na swym sztandarze wszystkie hasła

żydowskiego separatyzmu. Wszelkiej zaś tymczasowej i praktycznej pracy nad uregulowaniem emigracyi syonizm wyrzekł się, uważając podobną działalność za niegodną jego wielkich zamiarów, jego wielkich celów.

Tak więc inicyatywa społeczna dotychczas niewiele przyczyniła się do uregulowania emigracyi. Wychodźtwo odbywa się wciąż bezładnie, komplikuje coraz bardziej, staje się wprost gordyjskim węzłem. Ale nie wynika stąd bynajmniej, aby problemat emigracyjny nie mógł być rozwiązanym, a przynajmniej uproszczonym drogą samopomocy. Dotychczasowe wysiłki nie dały żadnych poważniejszych wyników, gdyż albo szły w fałszywym kierunku (*vide* syonizm), lub też były opieszałe i nieudolne, jak np. działalność Żyd. Tow. Kol., powierzonego biurokratom. Zarząd instytucyi tej troszczy się tylko o jedno: aby nie wydać w całości procentów od pozostawionego przez bar. Hirscha kapitału; lwia zaś część procentów idzie na pensye dla niezliczonej rzeszy urzędników.

Społeczeństwo żydowskie powinno ująć w swe ręce tę kwestyę. Powinno starać się o skierowanie emigracyjnego potoku do krajów, w których wychodźcy mogą znaleźć odpowiednie pole działalności, a więc w pierwszym rzędzie do krajów słabo rozwiniętych pod względem ekonomicznym lub tych, w których daje się odczuć brak rąk roboczych; społeczeństwo powinno, jednem słowem, wszelkiemi siłami starać się organizować emigracyę, z żywiołowej i bezładnej uczynić ją celową i zorganizowaną. Jest to jedyny sposób rozwiązania ekonomicznej strony kwestyi żydowskiej, gdyż obecnie masy żydowskie, skupione w strefie osiadłości, duszą się, giną i degienerują z nędzy. Wszelkie zaś nadzieje na otwarcie przed żydami wrót zaklętego Sezamu—Cesarstwa — pozostaną przez dłuższy czas tylko... nadziejami.

Społeczeństwo polskie powinno zdaniem naszem popierać i zachęcać wszelką inicyatywę, zmierzającą ku zorganizowaniu żydowskiej emigracyi, gdyż milionowa masa nędzarzy jest dla kraju brzemieniem ponad siły.

Uregulowanie emigracyi żydowskiej powinno stać się jedną z głównych trosk społeczeństwa — żydowskiego oraz polskiego.





LEON RYGIER

Twórczość

Pokusa chwili:

Jużem dojrzała, jako winne grono,
Na gór pochyłem, a słonecznem zboczu;
Już w ust purpurze i w złocie mych oczu
Dojrzysz miłosną żądzę zaczajoną...

Już piersi moje pod lekką zasłoną
Mają okrągłość i twardość uroczą;
Już biodra moje pod suknią przezroczą
Przypominają lirę odwróconą...

O, przyjdź, kochanku nieznany, tęskniony,
Po miąsz gron moich i po pieśń mej liry...
Dobądź z owocu wino, ze strun tony...

Niech nas upoi rozkosz wonią mirry,
By próżno nie stygł żar mych ust czerwony,
I oczu moich nie blakły szafiry...

Twórca:

O duszo jasna, o duszo daleka,
O gwiazdo — siostro mojej duszy złota!
Hymnem jest pełna pustelni mej grota,
A łaska płynie przez nią, niby rzeka...

I serce tęskni za czemś, na coś czeka...
Słodkie czekanie i słodka tęsknota!..
Oto się iści święty sen żywota,
Lilia marzona srebrny kształt obleka...

Wiosenne niebo otwiera ramiona,
By przyjąć ciche rozkoszy westchnienie...
Dusza, z pęt ziemskiej nędzy wyzwolona...

Szerokie przed nią, nieznane przestrzenie...
Chwila — a długa męka się dokona,
I życie srebrne wypiją promienie...

Pokusa chwili:

Zimne są gwiazdy, jako sarkofagi,
W których przeszłości blade próchno świeci...
Może już zgasły od wielu stuleci
I trwają tylko, jak dziejów swych sagi...

Odwróć od trupów oczy ku mej nagiej
Piersi, co życie w tobie tchem roznieci,
A gwiazda żywa w łono twoje zleci,
Jaśniejsza, niźli ta, co wiodła magi...

Wieczności pragniesz?... To, co nieskończone,
Jakże w skończony kształt ci się oblecze?...
A przez me usta żywe i czerwone

Nieskończonego zdrój istnienia ciecze...
Cóż, że w uściskach twych na popiół spłonę?
Kwiaty przyszłości wyssą ze mnie mlecze...

Twórca:

Więc dobrze... Pójdź... To prawda... Ze krwi twojej
Tęsknota moja żywe weźmie ciało;
W spazm twej rozkoszy zaklnę wieczność całą,
Wieczności winem pierś twa mię upoi...

O jakże dziwnie moc się twórcza dwoi,
Aby harmonię wytworzyć wspaniałą!
Co wiecznie trwać ma — to z chwili powstało,
A co jest chwilą — o wieczności roi...

Daj mi swe usta, chwilo, słodka chwilo!..
Płonę, umieram — aby żyć na wieki...
Niebiosa w moje objęcia się chylą,
I sam w niebiosa lecę, jak duch lekki..
. . . .

Tak chmury, które dżdżem rzekę zasilą,
Ponowne życie biorą z łona rzeki...

JANINA PRZECŁAWSKA

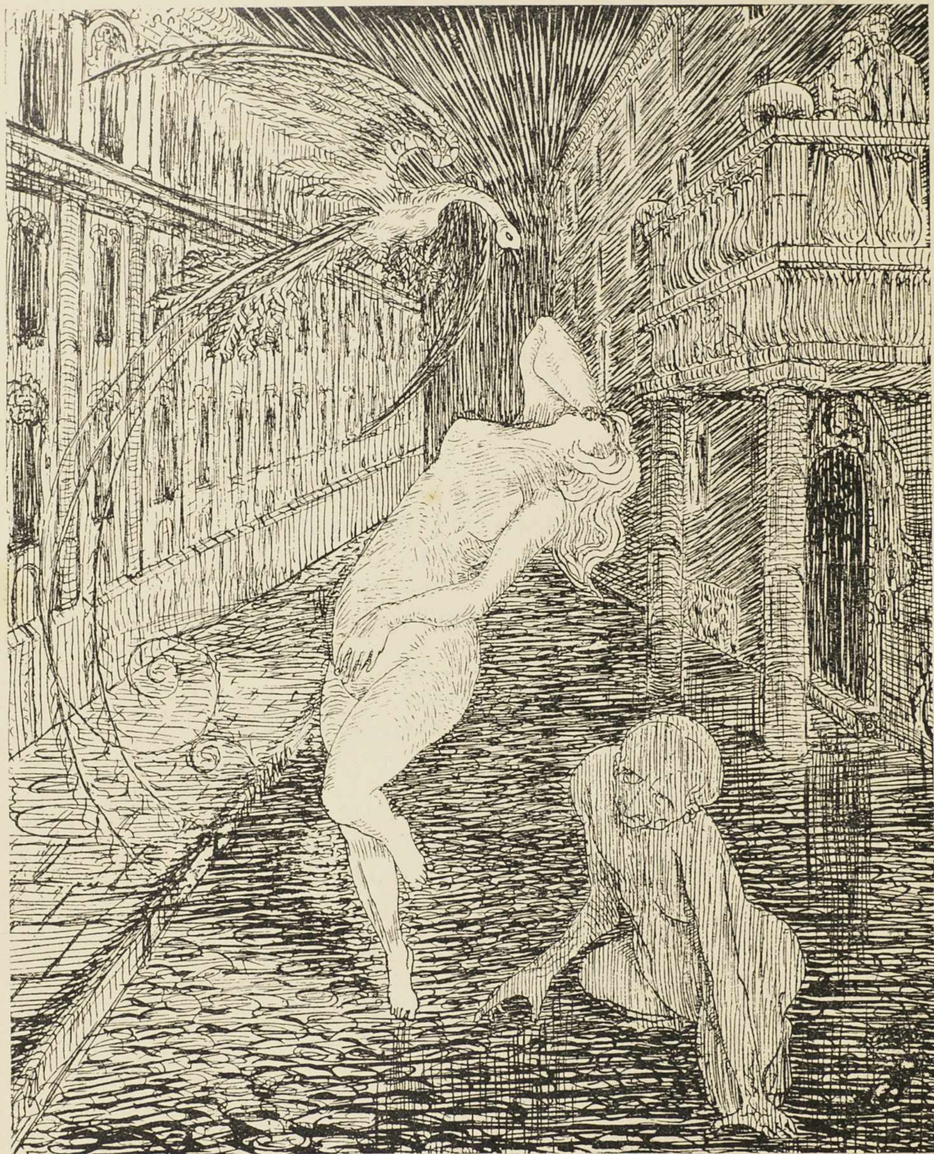
Życie

Stąpa dziewica wysmukła, wiewna
łąkową trawą,
Uśpione pąki otwiera rzewna
dłonią łaskawą —

Idzie i w oczy jasne, jak słońca,
zbiera miłośnie
lotny puch kwietny, która wiatr strąca
w ofierze wiośnie —

Idzie i wargi swe wtula blada
w wonne powicie...
Płatek za płatkiem z kwiatów opada
i szepce:
Życie...





rys. T. Ulanowski

TADEUSZ ULANOWSKI

Maryanna

Hej, Maryanna! o twojej cnocie
Majowy deszczyk wie, Maryanna!
— Za twoje ciało dawali krocie
Panicze możni, hej, Maryanna!!

W błocie stojąca przed pałacami
Tańcuj! wybrałem kamień najgładszy:
Pokaż im piersi – obróć plecami,
Niech się zazdrosna pani napatrzy.

— Co oni wiedzą?! patrzą, jak klęczę
Przed tobą, Maryanna naga...
— Kto ci, gdy skaczesz, trzyma obręcze,
Kto się piosenek uczyć pomaga?

Hej, Maryanna! wyjdź na ulicę:
Deszczyk opłukał kamień najgładszy...
— Zatańcz! pieniążek z balkonu chwycę,
Gdy się zazdrosna pani napatrzy.

Zatańcz! pan z panią dobrze zapłacą;
Zaśpiewaj rajskie Adama gody:
-- Przy młodej pani stoi pan młody,
A pani gniewna... na kogo?... za co?...

Rajska pawica! pani zazdrosna
Przy mężu—żona—tego nie zniosła,
Żeś taka piękna, o Maryanna!
Po twoje oczy, po rajskie oczy
Pani rajskiego wyprawia posła...
. . . .
Hej, Maryanna! twoich warkoczy
Na posag starczy dla kilku pań!
Wyjdź na ulicę – wynijdź, jak wiosna,
Przed pałacami, jak posąg, stań!

Łzami umyłem kamień najgładszy:
Zaśpiewaj o tym dzbanie ze szkła, –
— Pieniążek chwycę, gdy się napatrzy
Zazdrosna pani o męża zła!...



W. FELDMAN

Romantyzm i jego skutki

II

Walka o romantyzm jest walką o światopogląd. W tem jej znaczenie, w tem źródło entuzyazmów i nienawiści. Walka to zatem dawniejsza, niż opowiadają historycy literatury, którzy z wyżyny stosów swojej bibuły dostrzegają początki romantyzmu w Russie, Chateaubriandzie, Schleglach, Byronie.

Nie literaturą jest romantyzm, i nie *Nowa Heloiza* go zrodziła. Gdy Damarates odpowiedział Kserksesowi, że spartanom wolno tylko zwyciężyć lub umrzeć na stanowisku, i istotnie trzystu ze śpiewem na ustach stanęło przeciwko dwom milionom — była to walka romantyzmu z przemożnym niezwyciężonym — zdawało się — pozytywizmem. I romantyzmem najczystszym tchnie kult Dyonyzosa i tajemnic orfickich, z których wyszła tragiedya grecka. Gdy później przed sądem mądrych, racyonalistycznych faryzeuszów i sceptycznego patrycyusza rzymskiego stanął Chrystus o marzycielskich oczach — był to romantyk, który rozpoczął okres w dziejach ludzkości: walki chrześciaństwa transcendentalnego i mistycznego, z upostaciowanym w Rzymie rozumem i porządkiem świata Ale i chrześciaństwo rychło skostniało w racyonalistyczny, dogmatyczn-scholastycyzm: wobec niego romantyzmem jest odrodzenie, które przywróciło moc uczuciu, modliło się naiwnymi obrazami prerafaelitów, duszę świata ogarnęło płomiennym duchem Giordana Bruna, całą bezdeń bólów i walk tytanicznych, urągających mrowisku ludzkiemu, wyraziło w gigantycznych dziełach Buonarotti'ego. Romantyzmem był czyn Kopernikowy, który cały świat na głowie postawił, w czem jest pier-

wiastek racyonalistyczny, ale na *swojej* głowie; romantyzmem był czyn Kolumbowy. Romantyczny jest Szekspir — i zrozumiałą jest rzeczą, że uległ zapomnieniu w następnych wiekach harmonii, porządku i kultury, uwieńczonych sztuką nieprawdziwą, dekoratywną, czysto zewnętrzną, jak — peruka.

Nie prowadzę dalej dowodu historycznego: to, co napisałem, wystarczy do ujęcia dziejów człowieczeństwa w formułę dwóch zasadniczych potęg: jedna stoi na gruncie twardej, empirycznie danej rzeczywistości; nie przekracza jej zaklętego koła „zdrowymi" swymi zmysłami; jako marzycielstwo, szaleństwo, dezorganizacyę życia i spraw jego piętnuje wszystko, co się wyłamuje z pod dyktatury zdrowego, praktycznego rozsądku; drugiej na imię chimera, utopia, głównym motorem: siła uczuciowa, natchnienie, szał, bohaterstwo, a rezultatem — często, bardzo często: ulatywanie, jakby mocą skrzydeł, tam, dokąd pełzający rozsądek nigdyby nie doszedł lub doszedłby z chyżością żółwią.

Często, pewnie nawet najczęściej, dzieje się też inaczej. Można więc sławić Sancho Pancha, jako uosobienie zmysłu praktyczności i doraźnych korzyści wobec fantastyczności Don Kichota, liczącego sińce na swem ciele. Ale czy też zadał ktoś sobie trud napisania historyi „zdrowego rozsądku", która byłaby — jak już Kant powiedział — historyą jego kompromitacyi?

W dwóch sferach upływa nasz byt: w tej, która *jest*, i w tej, która *ma być*. Pierwszą nauczyliśmy się, potomkowie wieku dziewiętnastego, uważać za wyłączną dziedzinę realizmu, którego ojczyzną: poznanie. Zamknięta przed nami wielka tajemnica da się otworzyć jedynie kluczem badawczego rozumu; ciemność jej przebija li tylko „mędrca szkiełko i oko". I tem różnimy się od przodków naszych, że z dziedziny poznania wypłoszyliśmy wszelki mistycyzm, t. j. dochodzenie do prawd drogą skojarzeń uczuciowych. Tak jest; nauka i tylko nauka ścisła przyniosła nam wszystkie te zdobycze poznawcze, któremi duch ludzki się chlubi — ale czy w tym procesie czynniki uczuciowe istotnie żadnej nie odgrywają roli? „Uczucie — to pionier poznania!" woła Wundt, i profesor bazylejski Karol Joel poświęca omówieniu tej tezy jedną z najpiękniejszych książek, jakie współczesna literatura posiada („Der Ursprung der Naturphilosophie aus dem Geiste der Mystik"). Na początku i na końcu Umiejętności i poznającego stoi ów wzgardzony, potępiony czynnik uczuciowy. Nasza znajomość natury wypłynęła z mistycyzmu zarówno na Zachodzie, jak i w Grecyi

i w nowożytnej Europie za czasów renesansu. Prądy mistyczne stały u kolebki wiedzy przyrodniczej, zarówno starożytności, jak i dziewiętnastego wieku; w ostatnich czasach pamiętamy wszyscy, jak silny bodziec dał „mistycyzm" psychologii dzisiejszej, szczególnie badaniom „okkultystycznych" stanów duszy. Tak surowy badacz i przeciwnik mistycyzmu, jak Ostwald, przyznaje, że „mistycyzm zdawał się czasami wyświadczać usługi pionierskie, gdyż antycypował pewne myśli, których doniosłość później występowała na jaw". Równocześnie badacz, obowiązany do operowania środkami ściśle intelektualnymi, nietylko w nich czerpie moc swą i myśli najwspanialsze. Pamiętna jest mowa, którą Helmholtz wygłosił na cześć Heidelberga. „Coś z daru widzenia poety musi w sobie i badacz posiadać. Oczywiście musi ostatni więcej łożyć pracy cierpliwej i zmudnej, aby materyał porządkować i przygotowywać. Ale sama praca — idei światłodajnych nie przyniesie. Te wyskakują, jak Minerwa z głowy Jowisza, nieoczekiwanie, niespodzianie, nie wiemy skąd przychodzą. Tylko to jest pewne: temu, kto życie poznał tylko wśród książek i papierów, i temu, który osowiał wśród monotonnej pracy, nie zjawiają się one". Tu wielki badacz hymn śpiewa na cześć piękna przyrody, które zapładnia uczuciowo duszę i wnosi ład i światło w świat chaosu... Bo — dodaje Joel — gdyby myślenie miało pochłonąć wolę i uczuciowość, gdybyśmy mieli rozwijać się w kierunku wyłącznie intelektualistycznym — w takim razie doszli Chińczycy i scholastycy znacznie wyżej, niż my...

Tak jest; uczucie to pierwszorzędny czynnik poznania, i gdy mowa o błędach i klęskach uczucia, nie zapominajmy też o błędach i klęskach systemów naukowych, osiągniętych najsumienniejszemi badaniami ścisłemi. Dzieje nauki są dziejami hypotez — tylko dzieje uczucia miałyby od nich być wolne?

Nie wygnać zatem romantyzmu — nazwijmy go przeczuciem, natchnieniem, mistycyzmem — z tej dziedziny, która niezaprzeczonem jest królestwem Myśli badawczej, i która najwięcej przyniosła faktów, odsłaniających zaklętą twarz rzeczywistości. A jakżeż się ma rzecz z powiązaniem faktów tych poszczególnych w pewną całość ideową, w syntezę? Gdy przechodzimy do tej niewygasłej potrzeby ducha ludzkiego, nagle najściślejszy empiryk przemienia się znowu — w poetę-romantyka, zaś poeta-romantyk w mistycznych swych przeczuciach wyprzedza nieraz ścisłą wiedzę. I tak panteiści, jak Schelling i Słowacki,

zwiastują teoryę rozwojową Darwina, zaś badacze wypróbowani, jak Haeckel, Forel i inni, głoszą godny Słowackiego panpsychizm. Nauka nowoczesna zna bowiem szeregi faktów i tylko faktów — lęka się nawet wiązania ich mianem „przyczynowości", a o ile pragnie wznieść się do poznania *całości* — operuje typową metafizyką! Metafizyką jest „materya", a gdy ją odrzucamy i wprowadzamy energię — mamy znowu tylko inne pojęcie metafizyczne. I daremnie usiłują myśliciele empiryo-krytyczni wydostać się z tego zaczarowanego koła przez sprowadzanie nauki do opisywania zjawisk, przez wyznaczenie myśli roli naśladownictwa faktów (Mach); myśl nie ogranicza się do konstatowania, ona porządkuje, uzupełnia, tworzy: daje syntezy — Romantyzm!

Rzeczy to powszechnie wiadome, a jednak trzeba je powtarzać, trzeba za reakcyą „anti-romantyczną" zajść do fortów, w których ona się czuje najsilniejszą, niezwyciężoną, do nauki o przyrodzie, w której bez filozofii można wprawdzie dzisiaj być np. lekarzem, jak można być praktycznym maszynistą bez znajomości fizyki, ale nie przyrodoznawcą w nowoczesnem znaczeniu słowa. I tem się dziś różnimy od pokolenia, które przed czterdziestu laty poiło się streszczeniami Comte'a, Huxleya i Haeckla, nie przeczuwając, do czego ów Haeckel dojdzie: do wprost rozpaczliwych prób rozwiązywania „zagadek świata". Nienaruszalna i święta jest władza badawcza, ale poza jej obszarem: stwierdzaniem faktów, wznosi się królestwo Niepoznawalnego i Niepojętego, a do niego prowadzi nas uczucie, oczywiście po stopniach, zbudowanych przez ścisłą naukę.

Taką jest rola Romantyzmu w stosunku do świata, *który jest.*

„Który jest" — w naszem wyobrażeniu. Istoty bowiem i natury jego nie znamy, a to, co wiemy, osiągnęliśmy właśnie dzięki przezwyciężeniu empirycznej, rozsądkowej rzeczywistości.

A w świecie, który *ma być?*

Przechodzimy w sferę Nieskończoności, zamkniętą w wnętrzu duszy ludzkiej, w bezkresny krąg możliwości, jakim jest człowiek.

Dopieroż się przekonywamy, że historya jest — przezwyciężaniem rzeczywistości.

Wszystko płynie... Poezya wprzódy, niż nauka ścisła, odczuła owe prawo wieczystej przemiany, któremu podlega wszystko, co istnieje. Nieśmiertelna Wola Schopenhauerowska w bezustannem swem dążeniu do wcielań — przybiera formy nazewnątrz coraz bardziej skompliko-

wane, ustrojowo wyższe — nawewnątrz coraz bardziej uduchowione...

Objektywne prawo ewolucyi ma podkład subjektywny, którym jest nieskończony szereg walk między empirycznie daną rzeczywistością a Duchem.

Zależny od wszystkich potęg zewnętrznych był człowiek pierwotny, zależny rodzi się i dziś człowiek. A, o ile naprawdę rozwija się i rośnie — rośnie on zwewnątrz. Zzewnątrz mogą go otaczać wszystkie środki magiczne, dostarczone bodaj przez technikę nowoczesną; o ile duchem nie urósł—są one dlań kapitałem martwym; o ile duszę wolną posiadł—stwarza je sobie z minimalnych nieraz zadatków.

Duszę: tęsknotę...

Duszę: uczucie...

Duszę: wyzwolenie.

Wszystko, co człowiek nowoczesny posiadł, w każdym zakresie bytowania, było dlań niegdyś snem, chimerą, należało do sfery, która dopiero miała być.

Z tego stanowiska można wszystko, co posiada, nazwać wcielonem marzeniem, upostaciowanym duchem.

A jeżeli czegoś nie posiadamy, to dlatego, że marzymy zamało intensywnie, że chcemy ze zbyt słabą mocą.

Co nie uchodziło za Utopię! Ustrój polityczny wielu państw dzisiejszych — cała technika współczesna — stanowisko człowieka wobec człowieka i wobec przyrody — cały nasz byt codzienny wydawał by się ludziom z połowy XYIII wieku Utopią.

Nie znaczy to, jakobyśmy mieli prawo do optymizmu i do parweniuszowskiego chełpienia się: oto, jak wysoko doszliśmy! Znaczy tylko: nie obcinajmy skrzydeł marzeniom — nie obniżajmy lotu — tężmy naszą wolę.

A to jest Romantyzm.

Teraz jesteśmy u węzłowego splotu Poezyi i Życia.

„Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak naprzykład polityk narodowy organizuje siły stanu“ — powiedział Norwid, i to jest chyba najgłębsze określenie stosunku sztuki do życia. Bez zamierzeń tendencyjnych ze strony artysty, w zgodzie z prawem, przysługującem przedewszystkiem artyście: *fiat spiritus, ubi vult,* narzuca się jednak świat jego twórczości, o ile odpowiednią ma siłę, wyobraźni czytelników, wyciska na niej ślad niezatarty.

Artysta narzuca ogółowi swoje widzenie świata — swoją koncepcyę świata. Tem zaś różni się prawdziwy artysta od zwykłych śmiertelników, że ma dar dostrzegania poza kłębami chaosu i efemeryd — tego, co w zjawiskach jest najgłębsze, najistotniejsze: co jest niejako Ideą ich odwieczną. Ideą tą zaś jest rzeczywistość wyższa nad tę, którą ograniczonymi widzimy zmysłami: prawda ducha w walce z pozorami zdrowego rozsądku. I prawdę tę życia, sięgającego ponad życie, dostrzegają artyści zawsze, kiedy tworzą szczerze, śmiało, nieskrępowanie, kiedy nie są skazani na rolę wyższego rzędu błaznów; szczególnie więc w czasach nowszych, kiedy sztuka przestała być zależną od dworów i salonów.

Stąd skargi szkolarzy na brak w nowoczesnej literaturze epopei spokojnej, harmonijnej, zrównoważonej. Ostatniemi jej arcydziełami: *Herman i Dorota* oraz *Pan Tadeusz*. Wizye świata w stanie statycznym. Zresztą przewrażliwione dusze prawdziwych artystów wyrażają najsilniej rytm bytu w całem natężeniu jego pędu ku Wyzwoleniu, wyrażając go z całą wrodzoną sobie mocą fantazyi, uczucia obrazowania, i ten rytm narzucają ludom.

Dlatego też prawie cała sztuka nowoczesna jest romantyczna.

Z wyjątkiem kilku artystów, zajętych czystą kontemplacyą lub utożsamiających technikę z formą i poświęcających całą siłę intelektu przezwyciężaniu zadań technicznych — cała prawie literatura dziewiętnastego wieku jest romantyczna. Jest nią nawet tam, gdzie teoretycznie przeciwstawia się romantyzmowi, np. w powieściach Dostojewskiego, Zoli lub Balzaka. Indywidualność bowiem górniej patrząca nie da się nigdy złudzić pozorom powierzchni, nie ukorzy się przed Mayą, płytką, zewnętrzną Rzeczywistością. Bierze od niej fakty, aby po ich stopniach zajść dalej: uchwycić bieg świata w całej jego głębi i prawdzie. Staje się wyrazem siły metafizycznej: Idei — prącej naprzód, wcielającej wyzwalającą się duszę świata. U jednego przemawia językiem uczucia, tęsknoty, rozmarzenia, u drugiego — płomienną mową haseł, gromów i potępień, u innego — obrazami, porywającymi w krainę wyśnioną, czarów pełną i piękna bezkresnego — tu znowu — językiem negacyi, unicestwienia — u wszystkich tensam podkład i tensam rezultat: bunt przeciw powszedniej, obmierzłej Rzeczywistości — narzucanie wrażliwym wyobraźniom projekcyi bytu innego, wyzwolonego.

Niema obawy, by ktoś podkopał znaczenie rozumu. I niema antagonizmu między rozumem a światem Ducha, gdzie królestwo Romantyzmu. Nikt nie odmówi wielkiego rozumu mędrcom starożytności z Platonem na czele; wiadomą jest rzeczą, że między mistykami były pierwszorzędne potęgi umysłowe, ze szczególnemi zdolnościami do najbardziej ścisłej z nauk: do matematyki; metafizycy nie byli chyba w czambuł pozbawieni „rozumu", do ostatnich czasów znajdują się w Niemczech uczeni, którzy na polu badań naukowych pierwszorzędne położyli zasługi, a również są filozofami o najbardziej romantycznej metafizyce (Lotze, Fechner, poczęści nawet Wundt, zwolennik Schopenhauerowskiej zasady Woli).

A niema też obawy, by romantyzm zanadto się na świecie rozpanoszył. „Es ist schon dafür gesorgt, dass die Bäume nicht zu hoch in den Himmel wachsen". Życie, którem kieruje przedewszystkiem instynkt samozachowawczy, ma tysiące sposobów dochodzenia do „równowagi", przypalania i skracania skrzydeł, które zanadto pną się w górę ponad tłumy leniwe dwu- i czworonogów. Życie jest przedewszystkiem faktem biologicznym, ten „ducha" nie potrzebuje, gdyż procesy przyrody nie znają celu; cel zakreśla sobie dopiero duch, stąd wieczna między tymi dwoma pierwiastkami walka. Herold, pionier, zwiastun najczęściej ginie: rzecz to ze stanowiska „zdrowego rozsądku" i zdrowej estetyki bardzo... niezdrowa — nie znaczy to jednak, jakoby zwycięstwo faktu było zwycięstwem w wieczności. Oznacza tylko, że romantyzm w istocie swej jest zawsze tragiczny, że ludzkość bardzo powoli zdąża za przednią swą strażą, ale wszystkie momenty, które nazywamy tryumfem ludzkości, świętem jej i wywyższeniem na drabinie rozwojowej — są datami uroczystości Romantyzmu.

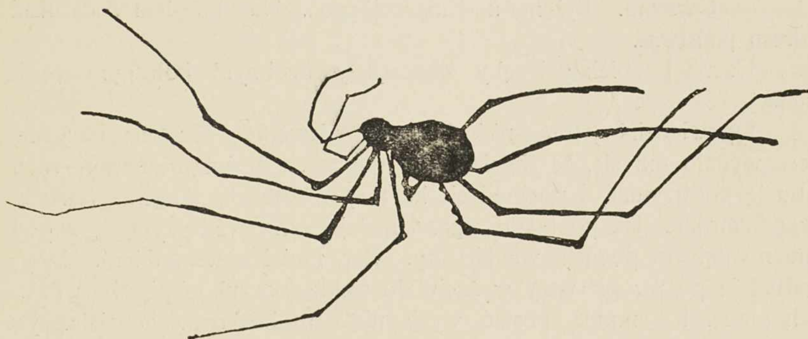
Nie, niema obawy, by romantyzm był wrogiem życia w jedynem jego szerokiem, pięknem znaczeniu: jako obrazu świadomości tworzącego, idącego wzwyż człowieczeństwa. Tembardziej, że zasadniczo romantyzm nowoczesny ulega przeobrażeniu podobnie, jak np. metafizyka nowoczesna; dawniejsza była spekulacyą li tylko „z wnętrza swojego ja", dzisiejsza rozpoczyna, gdzie kończą się umiejętności doświadczalne, jako na nich oparta nadbudowa. W podobnym stosunku pozostaje do doświadczalnej rzeczywistości nowożytny romantyzm. Kłaść na jego karb twory niedojrzałe i absurdy — jest metodą nieszlachetną. A że są możliwe całe nawet narody, pielęgnujące ową nadbudowę romantyczną: kult

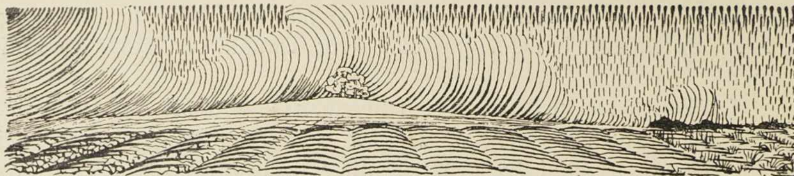
bohaterstwa — natchnienia — piękna — na podstawie bardzo pozytywnej, dowodem bodaj... Japonia. Czy istotnie tak łatwo zapominamy?

Doskonali się, przetwarza romantyzm, ale w treści pozostaje niezmieniony. Jest nią — jak od wieków — bunt przeciw powszedniej, obmierzłej powierzchni życia, narzucanie wrażliwym wyobraźniom projekcyi bytu wyższego, wyzwolonego.

III

A teraz czy trzeba dowodzić — wbrew p. Chlebowskiemu — że i czemu poezya polska w czasach najwyższego swego rozkwitu, około pierwszej połowy dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku, była romantyczna?





WACŁAW SIEROSZEWSKI

Tułacze

XIII

Helena sama otworzyła mu drzwi.

— Do kogo pan sobie życzy?

— Panno Heleno... nie poznaje mnie pani?

Cofnęła się zdumiona, przerażona nieledwie.

— Pan... pan... puścili pana?

— Ależ nie... uciekłem! — odrzekł, zdejmując palto.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła w głąb przyległego saloniku.

— Pan pewnie nie wie, co się tu u nas dzieje?

— Owszem. Byłem u Bukowskiego... Nie mogłem odszukać adresu państwa...

Usta jej zbielały i zęby zaszczękały drobnym bolesnym szczękiem.

Opowiedział jej w krótkości całe zdarzenie. Słuchała uważnie, lecz wydało mu się, że się słania na nogach. Zrobił nieznaczny ruch aby ją podtrzymać, i pochylił się ku niej cokolwiek. Dostrzegł wtedy w półzmroku, jak po bladej, skamieniałej twarzy potoczyły się z pod przymkniętych powiek wielkie łzy. Zapomniał o wszystkiem. Przygarnął ją po raz pierwszy w życiu do siebie, poczuł jej piersi na swoich piersiach, smukłą postać wyciągniętą tuż blisko swego ciała. Jej ramiona otuliły mu szyję, palce błądziły po włosach.

— Jesteś... — szeptał głos senny i cichy. — Myślałam, że już nigdy, nigdy cię nie ujrzę, a oto... jesteś...

Nie odpowiadał, szukał jej ust, lecz usunęła je mu, i mógł jedynie całować jej szyję mięką, pachnącą i ciepłą. Miał wrażenie, że płonącemi

wargami w skwarze i znoju dręczącej podróży przypadł nareszcie do zdroju czystego, że pije napój mocny, krzepiący, ożywczy... Ogarnęła go rozkosz bezwzględnego zapomnienia, jakiej do tej pory nie znał, przedsmak boskiej nirwany, ucieczki zupełnej od trosk świata. Głowa mu ciężko osunęła się na jej ramię, jak we śnie. Garnął ją do siebie coraz mocniej.

Odtrąciła go zlekka.

— Dość już, dość! Ojciec przyjdzie...

— Dosyć?!...—powtórzył nieprzytomnie Szumski.—Ach tak, ojciec...

Wyprostował się.

— Opowiadaj, gdzie zatrzymałeś się... pan... co zamyślasz robić? Czy nadługo?

— Właśnie nie wiem, jak postąpić... Hotel obsadzony... Muszę spędzić gdziekolwiek noc. Kto tu jest z naszych?

— Po rozłamie zostało bardzo mało... A teraz ta sprawa Bukowskiego... Ale to się da zrobić. Siadaj...

— A więc rozłam nastąpił?

— Nie chcę mówić o tem teraz, nie chcę...

— Rozłam z jakiego powodu?

— Niepodległość!... Wyrzekają się...

— Co? — żachnął się, odchylając w tył. — Dlaczego?

— Nikt tego dobrze nie wie — zaczęła, wybuchając i płomieniejąc coraz bardziej.—W tem kryje się jakaś tajemnica. Niektórzy twierdzą, że klika intrygantów znalazła się wypadkiem u steru, w chwili najwyższego politycznego napięcia... Rozegrała się jakaś niezmiernie wyrafinowana intryga, intryga na szeroką skalę. Pokryto ją płaszczem, że dla proletaryatu niepodległość jest niepotrzebna, a nawet szkodliwa. Obsaczono nagwałt wybitniejsze, odpowiedzialniejsze miejsca ludźmi stosownych poglądów, albo ludźmi chwiejnymi, nowymi, niczem niezwiązanymi z ruchem. Głośno na wiecach wyrażano pogardę dla dawnego programu, dla przeszłości, wyszydzano i obrzucano błotem dawnych zasłużonych działaczy... Zaczęła się wewnętrzna, zażarta, bratobójcza walka... Działo się coś niesłychanego... Nie spełniano uchwał, przeszkadzano sobie wzajem... Nie, nie będę o tem mówiła... nie mogę...

— A masy? — spytał złamanym głosem.

— Też się podzieliły... Znaczna część oszołomiona, zachwiana w wie-

rze waha się, lub odchodzi, traci idealizm... Tragizm niewysłowiony...

— A pani, panno Heleno? Czy pani też odeszła?

Zmieszała się i spojrzała nań smutno.

— Niezupełnie... Nie. Ale... mama umarła... Musiałam zająć się drobnem rodzeństwem, gospodarstwem... więc chwilowo... znalazłam się na uboczu...

Siedział postarzały, zgięty ze zwieszoną głową i nie patrzał na nią.

— Ojciec idzie! — szepnęła drżącym głosem i podniosła się.

Podniósł się i Szumski.

— Helciu! Helciu! Rewirowy przysyła stróża, aby mu oddać klucze od naszej góry i piwnicy... Coś nowego... Co oni chcą z nami robić? Chodź, gdzie się podziałaś?

— Tu jestem, ojcze.

— A kogo tam masz, Helciu? Wszak prosiłem cię, żebyś... — zabrzmiał głos na progu, i we drzwiach ukazał się siwy mężczyzna ze wspaniałą rozłożystą brodą.

— A-a-a... To pan... W jakiż to sposób? Czy uwolniono pana?

Chłodno przyjął wyciągniętą rękę i nie ruszył się, gdy młodzieniec pochylił się do jego ramienia.

— Nie, ojcze, pan Wiktor uciekł i potrzebuje właśnie...

— Co to, to nie. Nie cofam nigdy swego słowa, a już powiedziałem, że z tem skończyłem... Dosyć, panowie! — zaczął z pięknym giestem — Ale pogadać mogę... Owszem, nawet bardzo proszę! — dodał i ręką wskazał Szumskiemu fotel. Ten jednak z zaproszenia nie skorzystał, tak że i mecenas po krótkiem wahaniu pozostał na nogach.

— Czegóż jeszcze chcecie? Doprowadziliście kraj do pożądanego przez was stanu... Nędza, bezrobocia, głód... rozboje... Zamiast korzystać ze swobód, zająć się pracą twórczą — strajki, wywłaszczenia, chaos, mgławice... Rozpętaliście bestyę... Cofnęliście życie o sto lat... Zniszczyliście wysiłki całego pokolenia... uniemożliwiliście wszelką kulturalną pracę u podstaw...

— Jaką kulturalną pracę? Czyją? Nie przypominam sobie, aby pan założył choć jedną szkółkę, albo nawet biblioteczkę w czasach, gdy za to karano więzieniem.

— Robili to inni, to wszystko jedno. A teraz co? Do czego

doprowadziliście społeczeństwo? My tęsknimy do stójkowych, my z wdzięcznością spotykamy żołnierzy, gdyż oni chronią naszego życia i mienia. Pozbawiacie nas tej naturalnej obrony, nie zapewniając bezpieczeństwa. A co daliście nam: garść szumnych frazesów, orgie mów wiecowych, trupy niewinnych i bezbronnych. Napady... środy! Chcecie wmówić w nas, że uwolnicie nas przez to wszystko. Nie! Prysł urok waszych słów! Wyszliście nareszcie z ukrycia, i znikła odrazu bajka o bohaterach. Z pod jaśniejącej monstrancyi tajemności obnażyło się owrzodzone i trędowate ciało wasze... Historya odwróci się od was, przeklęte pokolenie!...

Szumski zrobił ruch gwałtowny.

— Pozwól pan, niech wszystko wypowiem przy tej okazyi... — tu kiwnął głową w stronę córki — A ojczyzna, coście zrobili z ojczyzną? Opluliście jej imię. Sam słyszałem, jakeście wołali: „precz z Polską"...

— Paru ciemnych szaleńców...

— Wymyślali na białego orła...

— A odkąd to pan, panie mecenasie, stał się takim jego zwolennikiem?

— Zawsze nim byłem... Że nie gardłowałem, nie krzyczałem, to niczego nie dowodzi. W głębi serca nosiłem go w ukryciu... A wy...

— Daliśmy możność mówić o nim głośno...

— Proszę mi nie przerywać!

— Nie mam wcale zamiaru wysłuchywać pana. Wiem, do czego to wszystko prowadzi i... żegnam pana.

Ukłonił się.

— Ojcze! Ojcze! Pan Wiktor trafił wypadkiem do... Bukowskiego... Nie ma się gdzie ukryć... Hotel osaczony...

— Co?.. Bu-kow-skie-go? Tem lepiej, tem lepiej — mruczał trochę zmieszany Zwierzyniecki, wychodząc za Szumskim do przedpokoju. Ten wciągnął już palto na ramiona.

— Ojciec uniósł się!.. Ojciec nie miał racyi... Zostań pan — powtarzała zająkliwie dziewczyna.

— Wcale nie! pan Szumski zbiera własny posiew... Nie ma prawa żądać, abyśmy ginęli z jego powodu.

— Zupełnie słusznie, panno Heleno... Żegnaj!... Proszę o jaki adres do Warszawy...

— Żadnych adresów... Proszę sobie iść! — ostro wmieszał się

mecenas, stając między gościem a córką. Znacząco ujął za klamkę i, skoro się tylko Wiktor cofnął do sieni, drzwi za nim natychmiast zamknął.

Helena gorączkowo szukała w ciemnościach kapelusza i okrycia.

— Chcesz iść? Szaleństwo! Ani mi się waż! Telefonowano mi, że straszne rzeczy dzieją się na mieście...

Dziewczyna nie słuchała go. Wtedy przekręcił klucz w zamku i włożył go do kieszeni. Poczem spokojnie zapalił lampę.

— Zdasz mi sprawę z tego, co tu między wami zaszło... Czego on od ciebie chciał? Dlaczego przyszedł do nas właśnie? Żądam, aby to się raz nazawsze skończyło — mówił.

Ale Heleny już nie było. Rzuciła się w głąb mieszkania i, roztrąciwszy drobne rodzeństwo, zastępujące jej drogę, wypadła przez kuchnię na schody, na podwórko i w bramę.

XIV

Szumski był już dość daleko. Szedł sztywnym, niepowstrzymywanym krokiem lunatyka. Głębię ulicy zasnuł już stalowy zmierzch. Blado migały w nim żółte centki latarń... Różowa łuna biła dziwacznie nad domami... Zdala dobiegał poszum niespokojnego ruchu... Dziewczyna nic tego nie widziała... Biegła, śledząc wytężonym wzrokiem za wysmukłą figurą młodzieńca.

— Wiktorze! Wiktorze! — zawołała nareszcie z rozpaczą, gdy miał jej zniknąć za rogiem ulicy. Obejrzał się i stanął.

— Co pani robi? Nie widzi pani, co się tu dzieje?

Drgnęła, gdyż w tej chwili właśnie rozległ się głuchy łoskot odległej salwy. Schwyciła go za rękę.

— Już cię nie opuszczę!

— Przeciwnie. Wrócisz zaraz do domu. Ja dam sobie radę...

Próbował obrócić ją i pociągnąć z powrotem.

— Nie, nie! Pójdę z tobą... Będziemy razem... budować od początku — szeptała cicho, przylegając głową do jego ramienia. — Nie odtrącaj mnie!.. Na nic się to nie zda!... Nie mogę... Oszaleję... Nie odczepię się... Będę krzyczała... Zresztą, pozwól, odprowadzę cię do znajomych... Wrócę potem z którymkolwiek z nich... — powtarzała bezładnie, uśmiechała się, garnęła ku niemu i drżała.

Znów głuchy, jakiś potworny pomruk doleciał ich od krańców miasta, a poza nimi, na skrzyżowaniu ulic błyskały w świetle latarni bagnety. Słychać było miarowe kroki piechoty.

— Dobrze, już dobrze! Idziemy. Jeszcze nas tu zabiorą — odpowiedział rwącym się, wylękłym i zarazem radosnym głosem.

Zaczęli szybko uchodzić przed zbliżającym się, miarowym sznurem wojska. Wkrótce zauważyli, że takich jak oni jest wielu... Żenie ich w jednym kierunku jakiś wicher niewidzialny... Bramy domów zawierają się przed nimi z łoskotem... Gwar popłochu polatuje nad nimi. Dziewczyna, gwałtownie ciągnięta przez Wiktora, zawisła mu ciężko na ręku.

— Tu, tu... w tę ulicę! Stamtąd już niedaleko...

Nagle tuż blisko huknęła salwa, i kule jak stado świegocących drozdów przeleciały nad ich głowami... Jednocześnie fala czarnych, obłąkanych ludzi wylała się z bocznej ciemni ulicznej, gdzie nie błyskało już żadne światło.

Tłum ogarnął ich, zmiął, podchwycił i poniósł z sobą. Szumski rozumiał niebezpieczeństwo, ale narazie nie był w stanie wyrwać swej towarzyszki z szalonego ludzkiego potoku... Biegli więc razem z falą i dopiero, gdy cokolwiek zrzedniała, zawrócili do pierwszego spotkanego zaułku. Tu było cicho i złowrogo. Nigdzie nie migało światło w oknach, nigdzie nie było widać żywej duszy. Jeno za rogiem pełgały jakieś niezrozumiałe blaski. Ale zbiegowie nie mieli wyboru.

— Gdzie jesteśmy?

— Nie wiem...

— Zdaje się, że tu gdzieś niedaleko plac, obejdziemy placem i wrócimy na Krakowską... Albo wiesz co, pójdziemy za miasto... Na cmentarz... noc ciepła...

Helena przytuliła się doń mocniej...

Ostrożnie przekradali się w cieniu domów, łagodząc, o ile się dało, stuk własnych kroków. Zdawało im się, że brzmią one niezwykle dziko i złowieszczo w umarłej ulicy. Łuna tymczasem rosła, zabarwiała ciemności, jak krew, przesiąkająca przez żałobną oponę. Zawrócili pod kątem i zastygli bez ruchu przed niespodzianym widokiem... W głębi obszernego placu płonął z trzaskiem piętrowy dom... Oddzielał go od nich czarny, nieruchomy żywopłot ludzi, poza którym opodal błyskały w łunie pożogi rzędy jakgdyby ostrych

płomyków... Zbliżyli się ku wylotowi ulicy, pociągnięci straszną, niezwyciężoną siłą, i zmieszali się z milczącym, rzadkim tłumem... Przepychali się coraz dalej naprzód, jak w okropnym śnie... Dom płonął, niby stos ofiarny, rzucając prosto ku górze niezmierzony słup czarnego dymu, sięgający, zda się, gwiazd. Na pustym placu widać było jak na dłoni blade kółka twarzy regularnie rozstawione nad ziemią, niby żałobne, bezpłomienne lampy... Z boku błyszczały krwawo hełmy strażaków, mosiężne krany ciemnych beczek i sikawek, guzy końskiej uprzęży... Wszyscy z zapartym oddechem patrzyli na ten straszny dom, gdzie z płomieniem, dymem i łuną biły w podniebie obłąkane wrzaski, to cichnąc, to zrywając się, jak wytryski głowni i skier, lecących z rumowiska... Gdzie z sykiem ognia płynął nieustannie głuchy, mistyczny, przejmujący śpiew, szeroki jak świat, jak świat wielki i niezgłuszalny... On wylatywał z samej gardzieli ognia, z poza płomiennych języków, liżących białe ściany, wybuchających ze wszystkich otworów wysoko ponad dach. W złotych kwadratach okien migały tu i owdzie czarne sylwetki ludzi... Krzyczeli coś, wyciągali ręce, grozili pięściami. Niektórzy wyskakiwali na plac. Lecz tu rychło chwytała ich gromada rozjuszonych szumowin i mętów, uzbrojonych w drągi, pałki, łomy. Zabijano ich natychmiast i rzucano na kupę drgających ciał, skąd z cichym jękiem wychylały się blade, pomiażdżone, okropne twarze, i skąd płynęła po bruku daleko czarna struga posoki.

Już nikt z domu nie skakał, już nie było widać czarnych ludzkich plam w otworach okien... Wtem tłum drgnął... Rozległo się przenikliwe wołanie:

— Ludzie!..

Kobieta z rozpuszczonymi włosami wychylała się, wypadała nieledwie z kamiennej framugi, podając stojącym w dole małe dziecię.

— Ludzie, ulitujcie się!

— Rzuć! — zawyła tłuszcza.

Obdarta, w łachmanach, dzika postać wyciągnęła ku górze czerwone od krwi i ognia łapy. Po tłumie przeleciał pochwalny pomruk.

— Rzuć!

Dziecię błysnęło w krwawem powietrzu, niby gołąb. Poczem kobieta oswobodzone ręce przycisnęła z wdzięcznością do ust, do serca i z łkającym szeptem, z oczyma wniebowziętemi błogosławiła...

Nagle przeciął ciszę słaby pisk duszonego, rozdzieranego na sztuki pisklęcia.

Tłum drgnął.

Wtem niewiadomo skąd i jak przedostała się przez ciżbę młoda dziewczyna i z głośnem szlochaniem, z wyciągniętemi rękami podbiegła...

— Ludzie!..

Wnet ją spostrzegli, schwytali...

— Obywatele!—zaczął gdzieś ponad tłumem rwący się głos.

Szumski z głuchym rykiem cisnął się naprzód...

— Heleno... Puśćcie... Zabiję...

Daremnie jednak rwał się Wiktor, szarpał, kopał, przeklinał. Ścisnęli go jak kleszczami i wlekli.

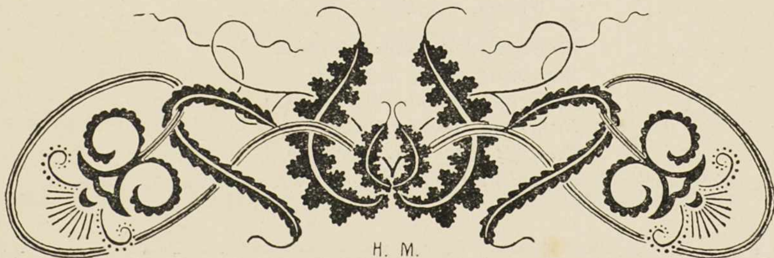
Wreszcie wybił się wyżej, ponad ramiona, i dojrzał, jak Helenę odzierali z szat, jak rzucili ją na okropny, ruszający się wzgórek trupów, rozkrzyżowali białe ręce, a między rozdarte nogi wbili gorejący pal...

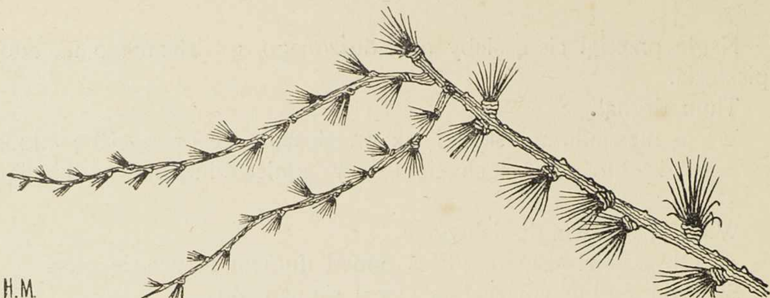
Stracił przytomność... Upadł w jakąś czarną przepaść... Gdy się ocknął i zebrał poszarpane myśli, zawrzał, dobył broni i począł słać bolesne kule, kulę za kulą. Rozległy się żałosne jęki śmierci.

Błysnęła sina salwa, i bicz kul chlasnął w ciemne powietrze... Szumski stał hardo; włosy jeżyły mu się nad czołem, zaciśnięte zęby błyskały z pod drgających ust, straszna spiżowa twarz płonęła w łunie dalekiego pożaru... Ruszył naprzód, przeraźliwy, jak sam bóg wojny, i szukał piorunowemi oczyma wokoło...

Jednocześnie huknęła salwa, i Wiktor padł na bruk, jak zerwany sztandar....

KONIEC





MARYA MARKOWSKA

Żywie...

Otom powalon, witeź wdały,
Na krwawem polu mojej chwały...

Ległem-ci jako lew spętany,
Wraże skowały mnie kajdany,
Wraże łańcuchy wzięły siłę...
– A tam kopają mi mogiłę...

Już się żelaza w koście wżarły –
A tam mi prawią, żem umarły...

Kołem nademną kraczą wrogi,
Jako nie runąć mi w bój srogi,
Jako mi nie ujść złej obieży,
Jako bez ducha trup mój leży.

Przyszli nademną płakać swoi,
Bez miecza przyszli i bez zbroi...
Każdy uderza mnie oczyma,
Szydnie pogląda na olbrzyma...
Każdy nienawiść ma u czoła,
A żaden ku mnie nie zawoła:
— Witeziu, wstań! —

Miecza się żadna dłoń nie imie...
Wzgardzie oddają moje imię,
Jako grzech we mnie był i zdrada,
Każdy mnie sądzi a spowiada...
Szarpają krwawe me wawrzyny,
Złem słowem hańbią moje czyny –

Otom powalon, miteź wdały.

W ciele zatrute grzęzną strzały...
Od sępich skrzydeł pomrok pada...
A owo kruków ciągną stada,
Na suchej wierzbie puszczyk woła...

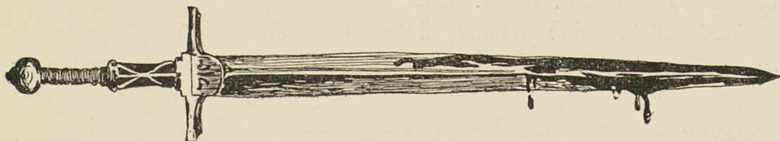
Szłyk się z krwawego zwalił czoła,
— A gdzież jest, który zleczy rany? —
Spękał się brzeszczot hartowany
I pokruszony grot w oszczepie...

Jakoż się zmogę, jako skrzepię?..

Przeczże mnie miecza i zbroicy
Zbawili bracia — niewolnicy!
Przeczże mi sroższe kładą pęta,
Niżeli wroga moc przeklęta!
Mogiłę dla mnie kopią wrogi,
A bracia ku niej moszczą drogi...
Jeno nienawiść zła u czoła,
A żaden ku mnie nie zawoła:
— Witeziu, wstań! —

Ległem na czarną matkę-ziemię
I oto snem ostatnim drzemię.
. . . .
Rośnie nademną kurhan szary,
W rozbitej piersi rosną żary:
Krew z mojej ziemi życiem wraca!
Grabarze Czynu, próżna praca!
Gości na stypę zwiecie kruczą —
W podziemnej kuźni młoty huczą.
Grabarze Ducha, próżne znoje!
Podziemna kuźnia kowa zbroje.
Burzą plonuje boju zdrada:
Kuźnica Czynu gromem gada!

Pryska ogniwo po ogniwie:
W spękanej trumnie Zmarły żywie!





ST. LACK

Uwagi o sztuce Daniłowskiego

II

W *Jaskółce* jest nietylko dokładność (prawdziwość), ale jest prawda czyli sztuka. I dlatego, myślę, niema u Daniłowskiego tego odcienia wulgarnej rewolty, która nas razi w wielu powieściach. Tu się nikomu niczego nie narzuca, bunt Halszki nie wychodzi ani na chwilę poza granicę smaku. Bo pojmijmy: ludzie gorszą się pewnemi uczuciami, pewnemi myślami, które czytają w książkach. Wysyłają swoje zgorszenie pod złym adresem. Uczuciem lub myślą niemożna się gorszyć, lecz formą, t. j. można mieć odrazę do narzucania uczuć i myśli, bo nie uczucia i myśli oraz ich następstwa krzywdzą, lecz ich narzucanie i chęć narzucania. W tym sensie Daniłowski nikogo nie zgorszy, nie dlatego, że jest „letni", lecz dlatego, że ma smak, że więc każdego ujmie (rozumie się, że wspominam o tem, ponieważ w tem widzę działanie czynnej siły, ujętej kierunkiem, nie zaś działanie przypadku). Daniłowski ma szacunek dla wszystkich uczuć, rozumie się: dla prawdziwych. A to dlatego, że ma poczucie życia. Cóż to znaczy? To znaczy, że nietrzeba mu sytuacyj nadzwyczajnych, poprzestaje na każdej, bo każda ma jednaką wartość, o ile jest prawdziwa. Każda sytuacya jest właściwą miarą człowieka. I to jeszcze znaczy, że smak u Daniłowskiego jest wynikiem „uspołecznienia czyli wrażliwości sumienia", właściwości, na której brak u Szwajcarów skarży się tak bardzo Kwaszewski (t. II, str. 42).

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Daniłowski nie pisze dramatów? Jest to prawdopodobnie sprawa techniki przedewszystkiem (my-

ślę: poprostu wprawy, ćwiczenia), a potem sprawa niemniej ważna—kwestya rozwiązania. Dramat musi być dramatem, nie może być jedynie sceną dramatyczną, dramat musi mieć... koniec. Narracya Daniłowskiego wyprowadza niejako *dramatis personas* Czasu, tej epoki, którą przedstawia. Z tych niektóre tragiczne w samym przebiegu losy swe spełniają. Pod tym względem można mieć tymczasowy żal do Daniłowskiego, że zatytułował rzecz swoją *Jaskółka*. Jak to już pchało do dania na samym ostatku owego monologu Jaskółki! Bo ten rozdział ostatni nie jest tem, co się nazywa rozwiązaniem: *dénouement*. Narracya nie może się kończyć. A rozdział, w którym jest przedstawiony koniec Jaskółki, nie jest *zakończeniem* narracyi, lecz wyczerpaniem tego, co się w zakreślonej ramie czasu mieści. O to jednak narazie mniejsza.

Orski się skończył, dobrze; bo komużby znowu stał się pretekstem do spełnienia tragicznych losów? Taki już los pewnych ludzi, że są na świecie pretekstem. Bez nich wszystko *jest*, ale niewszystko bez nich *się dzieje*. Bądźmy mu wdzięczni i za to, tembardziej, że go Daniłowski nie przedstawił odrażająco. Jest to przecież chłopiec bardzo sympatyczny. Taki Kreon, żeby się już trzymać analogii, jest człowiek twardy, zły, tępy. Więc i to się poczęści w sprawę miesza. Ale Orski... Orski jest mistrzowsko przedstawiony. Kto to jest Orski? Siliłem się, żeby znaleźć określenie, i doszedłem do tego, że Orski to jest człowiek, który się zrównał z sobą. Znalazłem to określenie za pomocą tekstu Daniłowskiego. W pierwszym tomie *Jaskółki* (str. 83) Orski, już jako dziedzic, jedzie do swej odziedziczonej Wolicy. Jest w drodze. „Na widok tej rozległej przestrzeni, monotonnej, białej i obojętnej, Orskiemu zatułała się po głowie refleksya, czy czasem cały jego teraźniejszy tryb życia nie jest taką jazdą, pracowitem dreptaniem na jednem miejscu wystygłej pustyni, z tą różnicą, że *wrażenie szalonego pędu w porównaniu do powolności ruchu naprzód* i ogromu obszaru pola, które zbiegać należy, znajduje się w jakimś tragicznie niewspółmiernym stosunku?“ Tak przewidzieć człowieka! To spostrzeżenie wydaje mi się niezwykle, jak powiadają, subtelnem. Orski doszedł więc do zupełnej harmonii, do zgody z sobą. Nie wierzę Jaskółce, która go ma za odstępcę. Orski zamłodu wybiegał nerwami i wykonywał tym wehikułem szalone ruchy, ale wszystkie jego siły właściwe stały na miejscu, niezużyte. Orski więc jest w zgodzie z sobą, nie

odstępca, nie zdegradowany, [1]) tylko, żeby rzec tak, elegant z nadszarpaną wiarą w swoją elegancyę, elegant z bardzo nieznacznym wyrzutem sumienia, który się budzi w Krakowie w chwili rozbrzmiewania hejnału z maryackiej wieży.

Ale ci inni, Linowski, Rudny (osobiście np. jestem ciekaw, mocą tej ciekawości anegdoty, którą już pewnie mam zarówno jak inni, czy się Rudny w „Secesyi“ poznał z Ignacym!), Kwaszewski — ci się nie skończyli. W tych jest możliwość zbiorowego czynu, zestrzelenie dążności jednostkowych, które cechowały Halszkę, Dulkę, Orskiego; ale to właśnie należy do innego czasu, to należy może właśnie do dramatu. I w ten sposób jednak byłby to koniec narracyi, koniec epoki, koniec całej gieneracyi, którą nam przedstawiono we wszystkich odcieniach. A w perspektywie może dramat, a może trzeci tom. Takbym jednak doszedł do tego właśnie, że „powieść współczesna“ Daniłowskiego jest bardzo dobrze skomponowana. Niektóre osoby warto bliżej rozejrzeć. Z tragicznych zasługuje jeszcze na uwagę Jaskółka. Co nas uderza w tej postaci, to brak motywów działania. To może poprostu na fałszywą drogę pchnięta żądza szczęścia, nie: żądza życia, czynu, jak u Halszki. Jednostki, które w działaniu popadają w nieszczęścia, w cierpienia moralne, widocznie poszły w złym kierunku. Podtrzymuje je raczej wiara ludzi, z którymi wspólnie pracują, niż wiara własna. A sprawę, dla której działają, tak dalece wiążą z tymi właśnie ludźmi, że gdy spostrzegą pomyłkę, przenoszą całą gorycz na sprawę, tracą wiarę, której nigdy nie miały, i wtedy uogólniają własne cierpienia i zawody i ustępują miejsca, rzekomo zwyciężone, rzekomo zwyciężającym. Ofiary własnej pomyłki tragicznej, w którąby popadły we wszelakiej sytuacyi życia.

A osoby dramatu tego, który jeszcze nierozegrany, to Linowski, Rudny, Kwaszewski.

Z tych Kwaszewski ma stanowczo zabarwienie dramatyczne. I jemu brak nieomylności, ale Kwaszewskiego życie jest pełne; czy się więc omyli czy nie omyli, na jego życie to nie wpłynie, przysporzy mu ostatecznie trochę upokorzeń drobnych, narazi czasem na śmie-

---

[1]) Tu zwracam uwagę na notę w zeszycie poprzednim, str. 475, oraz na te ustępy niniejszych uwag, w których jest mowa o ciotce Orwidowej i o smaku Daniłowskiego.

szność u ludzi, którzy „już" niczego nie biorą na seryo. O to też nie idzie. Jego dramat tkwi w tem, że to jego dążenie może go zaprowadzić w bezkresy. Widać to po tem, że nie poprzestaje na budowaniu podstaw nowego życia, lecz, że chciałby wszystkich zamienić na budowniczych. Ludzkość złożona z samych ludzi — otóż idea prosta i naturalna. Naród (np. polski) złożony z samych Polaków — otóż idea znowu prosta i naturalna. Ale ta idea jest prosta i naturalna dopóty, dopóki idzie o to, żeby: *być*. Idea się jednak wikła, gdy idzie o to, żeby *działać*. W działaniu wszyscy są zajęci jedną budową, ale metody i motywy działania mogą i muszą być różne, różnorodne. Tu nie można ujednostajniać, to nie jest romans, tu trzeba nawet stworzyć każdemu motywy odmienne? na miarę jego ducha? Tu więc Kwaszewski może zajść na drogi niebezpieczne, bo tu Kwaszewski nie jest pełny i tu może się mylić. W tym zaś kierunku Kwaszewski będzie pełny, gdy weźmie w siebie i Linowskiego i Rudnego i jeszcze tego chłopa z pod Krakowa, którego poglądem na bieg spraw życia jest: prać. Dlaczego? Z jakich motywów? Cóż nas, Kwaszewskich, to może obchodzić? Kwaszewscy — mamy moc transfiguracyi i w naszym ogniu spłonie wszystko, co nieczyste. W tym więc kierunku Kwaszewski musi się stać nieomylny, musi pojąć, że w zwykłych warunkach istoty tragicznej rzeczą jest: mylić się, ale rzeczą istoty pełnej jest, żeby pomyłkę zamienić na prawdę! Zadługo budujemy podstawy, za wiele „wyczuwamy", gdzie to tętni życie Polski, Kwaszewscy pełni, musimy je wyczuć wszędzie. W tych sprawach zmiany zewnętrzne są budowaniem podstaw, są zmianą wewnętrzną, Linowski jeden ma racyę. Ale nie jest dolą Kwaszewskiego być człowiekiem pełnym.

A Linowski? Jest pewien rys w tym człowieku, który mnie zdumiewa: Linowski jest trochę bakałarzem. Przepraszam za to Linowskiego, bo mi się zresztą Limowski bardzo podoba, chociażby dla gwałtowności, z jaką wyszedł z pewnej jadłodajni, że nie mógł znieść bezmyślnego ruchu, bezmyślnych słów i konceptów zgromadzonego społeczeństwa. Ale mnie zdziwił u tego człowieka *nowego* pewien znamienny rys, który tu przytoczę, a który Daniłowski sumiennie zapisał. Otóż właściwością bakałarza jest, że się dziwi mądrości swego uczucia. A drugą właściwością jest, że się czuje odpowiedzialnym za głupotę swego ucznia. Za mądrość bakałarz zahukany nie czuje się odpowiedzialnym.

Linowski, pozbawiony noclegu, błąkał się po Warszawie i zaszedł gdzieś na most. Było to właśnie po owem wyjściu z restauracyi. Po tem wszedł w park i usiadł. Przysiadł się do niego wkrótce pewien andrus. Ten andrus, pochwyciwszy uchem niebezpieczeństwo bliskie, wskazał Linowskiemu dobrą kryjówkę w rurze kanalizacyjnej, która tam leżała. Nadchodzą policyanci, którzy muszą wpaść na niego. Wówczas andrus, na wołanie, wychodzi i w ten sposób ocala Linowskiego. Linowski faktem ocalenia nie cieszy się — dobrze. Ale Linowski nie cieszy się dlatego, że go ocalił andrus! To sprawę zmienia. Bo tu, niestety, wpadamy w melodramat (jedyny to rozdział w *Jaskółce* (t. II *Łowy*), który przez to wypada z tomu). Wpadamy w gełne goryczy kontrastowanie, może zaczniemy się rozczulać szlachetnością czy ludzkością andrusa. To niedobrze! To nam mąci prostotę i siłę spojrzenia. Obejrzyjmy więc drugą stronę, której nie widzimy, bo ją nam zasłania gniew Linowskiego. Po drugiej stronie widzimy, że ten andrus Kubuś rozporządza niezmierną ilością swobody i niezależności, t. zn., że jest niezależny od swoich czynów, działa jak prawdziwy człowiek wolny, bo ma siłę, bo ma możność [1]). W jego motywy nie wchodzę. Mógłbym ich znaleźć tysiąc w beletrystyce całego świata i mógłbym dodać jeszcze kilka. Na miejscu Linowskiego człowiek prosty, o ileby rzecz samą przyjął, a Linowski ją przyjął, wstałby i poszedł do swego dzieła. A przedewszystkiem nie stawałby na szczudłach wobec Orskiego i nie wołałby melodramatycznie: „pewien złodziej kieszonkowy powziął ideę, żeby ocalić człowieka. Nie nauczam, opowiadam fakt, zdarzenie",— to są słowa, które łatwo wystylizować, przemoralizowawszy już całe zdarzenie do szczętu, że w tem przemoralizowaniu zginęło już nawet samo zdarzenie. Cały gniew Linowskiego potem traci dla mnie całą piękność (bo napisany jest pięknie), wobec tego, że wynika z goryczy, nie z siły! Tak jednak było! powiecie. Wiem. Ale tak być nie powinno. Na to nie pozwalają prawa stylu, o których już w innym związku powyżej mówiłem. Nie!

---

[1]) W tem postąpieniu andrusa jest poezya! Ale na tę jest ślepy Linowski, bo właśnie czuje się odpowiedzialnym jedynie za jego andrusowstwo, gdy ten andrus właśnie tak jedynie jest tragiczny. Wolicie, żeby takiego piękna nie było? Ja też. Ale to inna sprawa. Tu, niestety, to piękno już zamazane. Jakkolwiek... może tu nieco przesadzania.

wolę stanowczo umysłowość Linowskiego, gdy rozmawia z pomnikiem wieszcza lub gdy słucha, co mówią fale Wisły rozlanej, „jak blacha nieruchoma, wprawiona w brzegi, wytknięta linia świateł". Pyszny obraz! Więc się tu rozstańmy.

* * *

Te uwagi pisałem w listopadzie 1907, kiedy „Jaskółka" pojawiła się w książce. Obecnie dodałem jedynie notę pierwszą i to, co jest z nią w związku. Ale miałbym jeszcze kilka słów uzupełnienia.

Co do *Halszki Orwidówny*, która mnie bardziej od wszystkich innych zajmuje swym tragizmem: że jej brak nieomylności ukazuje się odrazu tam, gdzieby należało rzeczy widzieć w prawdzie: Halszka bierze pozory siły (u Orskiego) za siłę rzeczywistą. W ludziach czynnych a tragicznych tem nierozgarniony optymizm, ta łatwowierność jest właśnie tragiczna. Orski, zamiast toastu na balu, wzniósł okrzyk *Evviva l'anarchia*. Te słowa, w tej atmosferze gminnej i ospałej, znaczą dla Halszki więcej, niż dla Orskiego, znaczą żądzę życia, żądzę czynu. Dla Orskiego nie znaczą niemal nic. — Pewien znamienny rys, który jako wskazówka stylu jest znakomitym odpowiednikiem szczegółów podkreślonych powyżej w owej konsolacyi ciotki Orwidowej, znowu mi wrócił na pamięć: Orski opowiedział Halszce rzecz o *mariage blanc* z Jaskółką. Pierwsza rzecz, która w tem Halszkę uderza, to powaga takiego *mariage blanc*, którego nikt nie bierze na seryo. „Jak mi Jaskółki żal". Halszka byłaby istotnie niezupełna bez tego rysu, bez tej świadomości krzywdzenia kogoś z wiedzą. Jest to znowu sprawa kultury: ten odcień, ta nieobecność pospolitej rewolty i bezwzględnego rewindykowania praw swego uczucia. W swoją ostateczną decyzyę Halszka bierze pewną dawkę winy, która dla ludzi bardzo czynnych ma cierpki smak bardzo nikłej, ostrej rozkoszy. Halszka czuje tu jeszcze słabość Jaskółki, którą może widzi w prawdzie: istota porwana na kozła ofiarnego przez jakiegoś molocha-ideę. Halszka widzi w Jaskółce istotę słabą i równie jak ona tragiczną, lecz słabą.

W czasie wysokiej kultury jest zadaniem sztuki i sztuką umieć przedstawić ludzi ukształconych. Nie jest zaś zadaniem nijakiem pokazywać t. zw. bestyę w człowieku, niezdolną do ukształcenia. Jest to przesąd, który się opiera na innym przesądzie, że w tej bestyalności tkwi dusza, potęga niezależna od kultury. Tak nie jest: kultura for-

muje duszę, która stworzyła sobie kulturę. Osoba bez kultury, a wcale nieskomplikowana (jak chce pewna krytyka-estetyka), Ewa (*Dzieje Grzechu* Żeromskiego), idzie do żony swego kochanka, żeby się nakarmić jej krzywdą, ile że ją uważa za swoją krzywdzicielkę. Halszka, osoba z kulturą, powiada: „Jak mi Jaskółki żal". Różnica temperamentów? Nietylko. Ewa jest prawdziwa, ani słowa, gdy tak postępuje, ale prawdziwość nie stanowi jeszcze sztuki.

A teraz: o całej tej grupce młodych miałem powiedzieć, że w atmosferze uniwersyteckiego życia koleżeństwo stwarza pewne pozory, które siła organizacyjna potrafiłaby zamienić na prawdę. Ci wszyscy, którzy ino mają nieco szczodrości w umyśle i sercu, łączą się z ruchem nowym samą mocą koleżeństwa. Być kolegą działacza, znaczy dla młodego umysłu być towarzyszem i działaczem. O prawdziwem działaniu na podstawie rzeczywistych motywów może być mowa u kilku, u tych, którzy ruch stwarzają, u Linowskich i t. p. [1]). Inni — są to właściwie anarchiczne istoty, bez określonych charakterów, zależne od swych temperamentów i osobistych sympatyj i antypatyj, którym pierwsza lepsza sposobność da pokarm właściwy: otóż Dulka, Orski, Jaskółka. Istoty plastyczne, z których wszystko da się urobić, bo własnego kierunku nie mają. Wykrzyknik Orskiego na balu u Wilskich *Evviva l'anarchia* nie jest przypadkowy: Orski wyraża w ten sposób swoją naturę anarchiczną, zdezoryentowaną tymczasowo. Dla Orskiego życie uniwersyteckie było jakby przelotną miłostką. Orskiego najgłębszą miłością będzie własna jego osoba, doskonale przystosowana do tej organizacyi społecznej, która jest, a która polega na hodowaniu takich właśnie osobników anarchistycznych, pozbawionych (czy zgoła wolnych?!) kierunku.

Niema powodu użalać się z powodu tego. Jest to zawiła sprawa siły i działania okoliczności. Siły, ponieważ siła organizacyjna takiego Linowskiego może sprządz razem Dulkę, Orskiego, Rudnego i siebie— żywioły sprzeczne, i nie stanie się nijaka krzywda tym istotom; otrzymają kierunek, którego same nigdy nie zdobędą. Ale mają stanąć na

---

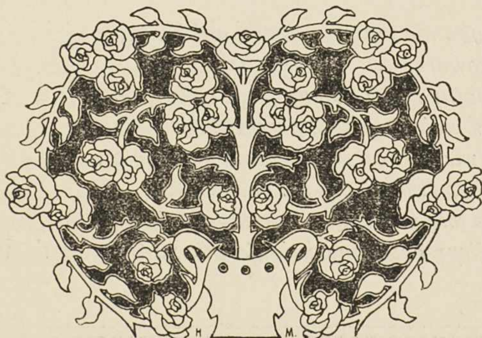
[1]) Co do tego Linowskiego, to powiedziałem wyżej, że on jedynie ma racyę. Jest to konkluzya moja, czytelnika. Bo my, czytelnicy, musimy... konkludować. Może tekst nas do tego skłania, może własne usposobienie i skłonności umysłu?

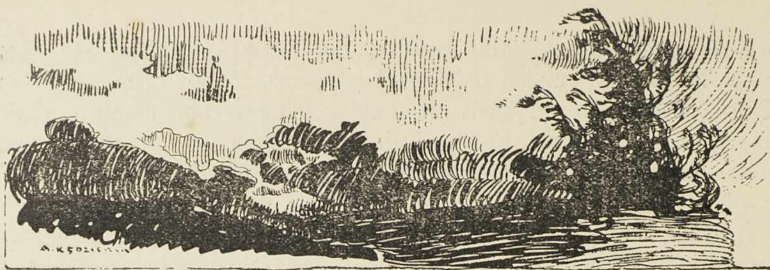
zawadzie okoliczności. Manifestacye studentów rozpędzają Orskiego, Dulkę. To nie jest ani ich dzieło, ani ich wina, to jest rzecz bardzo zawiła: nie umiano ich wyzyskać, nie umiano ich przerobić na siły — a jako jednostki nie są niczem. Każdy idzie w kierunku swej natury, zrzuca niejako jarzmo dyscypliny — Dulka popada w anarchię zupełną i kończy giestem pięknym, ale mało tragicznym, bo przesyconym goryczą, bo gorzkim, a nie silnym; Orski popada w taką samą anarchię, t. j. w bezwład. Właściwie zostać filistrem czy skończyć jak Dulka na barykadzie, to wszystko jedno w pewnych okolicznościach, w tych właśnie, które przedstawia Daniłowski.

W takich sprawach nietrzeba szukać t. zw. szczerości: osobniki anarchistyczne wcale jej nie mają, więc dyscyplina nic im nie odbiera. Nietrzeba szukać szczerości, bo nie każdemu jest dany talent twórczy, są ludzie stworzeni wyłącznie na współpracowników: można ich siłą własną utrzymać w tonie poważnym. To wystarczy.

Kwaszewskim nauka, którzy chcą działać na dusze (to są już znowu moje, niestety, konkluzye). Dusze należy zostawić w spokoju, bo wszystkie do wszystkiego są dojrzałe! A wszystkie są oblubienice jednego i czekają na grom. Wystarczy je budzić (oświecać), na właściwy czyn porwą się, gdy się zjawi ktoś z potęgą. Tymczasem zaś wszystko je budzi, urabiać ich do nowych stanów nietrzeba. Trzeba zaprowadzić nowy stan, a będą przeto urobione.

W maju, 1908.





JAN ADAMOWICZ

Fatalną idę, bezpowrotną drogą...

Fatalną idę, bezpowrotną drogą
W bezbrzeżne wiecznej tajemnicy lasy,
Tam, gdzie owite nieśmiertelną trwogą
Drżą lękiem bytu wieków przyszłych czasy.
A niemasz ze mną ni przy mnie nikogo,
Ktoby odważył życie na zapasy
Z niewysłowioną tajemnic potęgą.
Idę, związany złotych przeczuć wstęgą.

Nikogo nie mam — druha ani brata,
Ni towarzysza, ani przyjaciela.
Samotny idę w ciemną przyszłość świata,
Nikt moich widzeń, przeczuć nie podziela,
Nie wie, dzwon jaki w sercu mem kołata,
Jakiego twórcy, czy też burzyciela
Głos mię przyzywa, bym stanął do boju
Z Nieprzebłaganym u tajemnic zdroju.

Już ominąłem złudzenia tęczowe,
A sny o szczęściu zostały poza mną,
Już zwiędły róże, co wieńczyły głowę...
A ja wciąż idę w ciemność złotobramną,
A ja wciąż pragnę zdobyć moce nowe
I chcę i muszę zabić zmorę kłamną,
Co strzeże kluczy tajemnicy, — wściekła
Chimera, dziecko Nirwany i piekła.

Wiem, że polegnę na tajemnic progu,
Jak tysiąc innych — padnę bez imienia.
Lecz cóż mi imię? Jako z krzewu głogu,
Gdy przyjdzie święta chwila przemienienia
Kwiatu w nasienie, — giną śród rozłogu
Snieżyste płatki... tak doba wytchnienia
Po trudzie życia imię moje schłonie
I złoży martwe w tajemnicy łonie.

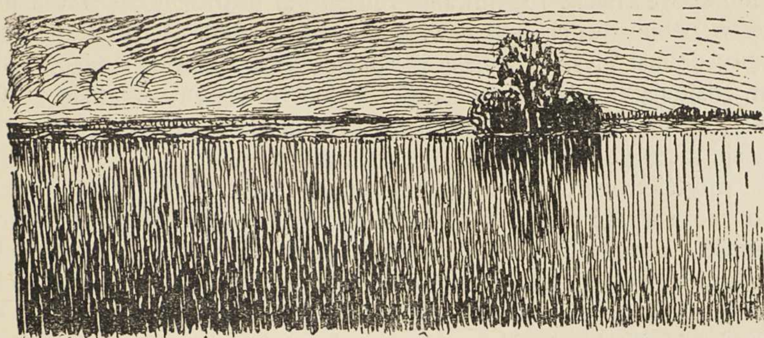
Gdzieindziej gniazdo moja duma wije
Z innego źródła moc zaciętą czerpie...
Ja życiem dziwnem, a tajemnem żyję,
Ono nie skończy się na śmierci sierpie;
O tem, kim byłem, i za co tak cierpię, —
Choć nie powiedzą nic usta niczyje,
Lecz moje żywe prawdą krwawą słowo
Błyśnie wam jutro, jak topór nad głową.

A tem straszniejsze, tem, że bezimienne,
Że niepojęte wczoraj — jutro jasne,
Srogie w swej prawdzie, zagładą brzemienne, —
To słowo będzie niby wasze własne,
A takie krwawe i takie płomienne,
Nieubłagane... Więc cóż mi, że zgasnę,
Jak gwiazdy gasną o świtu godzinie?
Duch mój i słowo moje nie przeminie.

Cóż mi, że oto strzygi i upiory,
Jak ptaki nocne, krążą mi nad głową, —
Że wczoraj braci zdradą byłem chory,
A dziś mi grozi może zdradą nową, —
Że wokół słyszę trupie rozhowory, —
Że brzmi bez echa moje twarde słowo?
Ja idę przed się, w tajemic otchłanie,
Gdzie berła dzierżą Śmierć i Zmartwychwstanie.

Obu potęgom sceptry wydrzeć muszę
I w jeden ołtarz stopić złote trony.
Z obu przerażeń wyswobodzić duszę
I stos zapalić płomieniem czerwony,
I w ognia wichrze, w złotej zawierusze
Skąpać mój żywot — ja, duch umęczony
Trudem i bojem z potęgami Doli,
Ja — duch bezkresu, syn wieczystej Woli.





SAVITRI

Ostatnie utwory L. Andrejewa

Leonidas Andrejew co do formy zajął stanowisko odrębne, odrzucając ramy realizmu, malarstwa obyczajowego, te najbardziej podstawowe tradycye literatury rosyjskiej. Lecz co do treści nie zboczył bynajmniej z tej zasadniczej paraboli duszy rosyjskiej, która, kreśląc po najdalszych przestworzach najcudniejsze tęcze, zawsze trafia— w głodnego chłopa.

Tylko u Andrejewa problemat społeczno-etyczny w danym czasie i środowisku urasta w kosmiczny, najszerszy, wszechogarniający, w abstrakcyę pozbawioną konkretnych akcesoryów i balastów realistycznych. Myśl jego niby promień biegnie od ziemi w przestrzeń międzyplanetarną, odrzucając stopniowo wszystkie pyłki ziemskiej atmosfery. I kiedy znowu na ziemię wróci, nawet kiedy kształt widomy oblecze, już w niej nie czuć brutalnych drgawek życia. Wszystko się skondensowało w kwintesencyi, w skrócie wszelkich zjawisk, w formułce algiebraicznej, w której znajduje rozwiązanie każdy fakt odosobniony.

Podłożem tych żelaznych, zwartych konstrukcyj jest ciężki bój myślowy już nie o istnienia odosobnione indywiduów i grup, lecz o podstawy życia. Zamiast wyławiania jęków miażdżonego człowie-

ka lub klasy, zamiast rozsnuwania rodzajowej pstrocizny — stawia naprzeciw siebie dwóch tylko wrogów: duszę i ból. I rozpoczyna się ponury dramat myśli, potępiającej istnienie wśród krzyku łamiących się wiar, znajdującej dla teraźniejszości jedno rozwiązanie: zagładę — i już nawet bez buntu malującej niewiadomą potęgę, która niewiadomo po co daje szczęście i niewiadomo po co zabiera.

Artyście operującemu abstrakcyami zawsze grozi niebezpieczeństwo: może wpaść w suchość i bezbarwność lub w niesmaczną alegoryczność. Lecz Andrejew jest naturą o silnych i wrażliwych zmysłach. I to mu pozwala odtworzyć swe pomysły w świetnych barwach, w dźwięcznej rytmice słów, z zapachem krwi i zimnem dotknięciem śmierci. Myśli skamieniałe w grozie wieczności ubiera w szaty wspaniałe, w dekoracye tak żywe, że z dreszczem strachu wyczuwa się poza nimi — śmiertelną nieruchomość.

Jest tu potężnie działający impresyonizm—a brak emocyonalności, tej emocyonalności, która np. u Żeromskiego oddaje bezpośrednią muzykę duszy.

Po „Bazylim Fiwejskim“, „Judaszu“ i bogoburcy „Sawwie“, do dziedziny wielkich, głębokich i niezwykłych problematów psychologicznych należy „Eleazar“. Radosna legienda ewangieliczna opiewa, że Chrystus wskrzesił brata Maryi i Marty, Łazarza, na trzeci dzień po śmierci. I było wielkie wesele i podziw dla cudu.

Andrejew wybiera z tej legiendy nie moment wskrzeszenia, lecz późniejsze życie zmartwychwstałego Eleazara. Zebrali się krewni i przyjaciele, obleczono go w bogate szaty i posadzono przy radosnej uczcie. Eleazar siedzi nieruchomo. Ciężko spoczywa na stole jego ręka zachowująca jeszcze koło paznogci siność śmierci. Na twarzy — pęknięcia i plamy, ślady powstrzymanego rozkładu w mogilnym dole.

I nagle ktoś z obecnych zadaje pytanie nasuwające się na wszystkie usta: „Powiedz nam, Eleazarze, co widziałeś — tam?“ Zmartwychwstały podnosi ociężałe powieki i zaczyna patrzeć. A w oczach jego było to, co włożyła w nie śmierć.

Pod tem spojrzeniem milkną wesołe gwary, obecnych ogarnia zgroza, potem nuda i zniechęcenie, a wreszcie kamienna obojętność. I odtąd tak było z każdym, kto spojrzał w jego oczy. Niektórzy odbierali sobie życie, inni żyli, lecz stawali się podobni do Eleazara. Spojrzenie jego zabijało życie. Wszyscy zaczęli go unikać — pozostał

sam w pustym domu. I codzień o zachodzie widziano jego olbrzymią, ciemną sylwetę, idącą w stronę zachodzącego słońca, by dłużej czuć ciepło promieni.

„Eleazar“ — to jedno z największych usiłowań wgłębienia się w istotę śmierci bez małoduszności materyalisty i złudzeń mistyka. Jako rezultat — potworny krzyk zgrozy, wykazujący całą niewspółmierność śmierci z życiem.

W „Mroku“ jest beznadziejna odpowiedź udręczonej duszy, sięgającej zawsze aż do najgłębszych den i czującej odpowiedzialność jednego za wszystkich, wszystkich za jednego. Ściganemu bojowcowi, który się zakonspirowuje na noc przed zamachem w domu publicznym, prostytutka zadaje pytanie: „Jakie masz prawo być dobrym, kiedy ja jestem licha?“

Tak, on nie ma prawa. Zrozumiały jest ten kryzys człowieka, zaglądającego w otchłanie nędzy, uświadamiającego sobie po raz pierwszy nieopisaną krzywdę już nie robotnika i chłopa, lecz występnego motłochu; ale nie odkupieniem, nie wyrównaniem krzywd będzie zsunięcie się na dno, upadek z upadłymi, w odpowiedzi na pytanie: „A to ty nie wiesz, że wstyd być dobrym?“ Tak mówi tylko rozpacz, gdy do końca walki, do ostatecznego wyzwolenia jeszcze bardzo daleko.

Dwa ostatnie utwory dwamatyczne Andrejewa: „Życie Człowieka“ i „Głód-Mocarz“ noszą cechy tak odrębne, że gdyby autor w dalszym ciągu pisał dla sceny, stworzyłby niewątpliwie własny „Teatr Andrejewa“. I przedtem Andrejew próbował swych sił na polu dramatycznem, lecz jego utwór dawniejszy — „Ku gwiazdom“, osnuty na tle walki rewolucyjnej, prócz aktualności typów i treści, niczem się nie odznacza. Na wszystkich trzech utworach znać robotę odśrodkową, wcielanie schematu gieometrycznego, rozdawanie Myślom ról osobowych. U większości pisarzy t. zw. „myśl przewodnia“ była nicią zszywającą oddzielne części i epizody. U Andrejewa proces twórczy polega na *zobrazowaniu* myśli. Do pomocy bierze się inne sztuki: malarstwo, muzykę, plastykę. Nie chodzi już o zachowanie prawdy, naturalności — fetyszów teatru Stanisławskiego — lecz o wystylizowanie w jednym nastroju, o podkreślenie, zasuggierowanie dominującego pojęcia, o zrobienie z całej sztuki wyjaśniającego się w przebiegu akcyi symbolu, który oddaje nie fotograficzną różnorodność zjawisk, lecz jeden wyabstrahowany krzyk życia lub śmierci.

Sztuki w ten sposób pisane, jakkolwiek wynikają całkowicie z organizacyi umysłowej samego Andrejewa, stały się urzeczywistnieniem programu artystycznego Meierholda, znanego stylizatora i modernisty rosyjskiej sceny.

Całkiem zrozumiały w takim procesie twórczym był jeszcze jeden krok: wyeliminowanie właściwej osoby działającej — leit-motywu—Myśli—i żywe jej upostaciowanie. Historyk literatury zrobiłby nawrot ku przeszłości i przypisał ten krok naśladownictwu dawnych Prologów i innych manekinów, wygłaszających sens moralny lub zapowiadających treść sztuki. Lecz każdy, kto ma wrażliwość niezabitą historycznością, zrozumie zupełną nowożytność pomysłu.

W „Życiu Człowieka", przedstawiającem przeciętne koleje przeciętnego człowieka, Niewiadome, Los staje na scenie jako Ktoś Szary, który trzyma w ręku świecę, palącą się odpowiednio do chwili życia Człowieka. Pomijając nową technikę, cała sztuka w swej wewnętrznej osnowie, nawet gdy akcentuje przeraźliwy determinizm, jest tylko algiebraiczną formułką banalnego filistra. Filister ów wyzywa los, gdy jest młody, zdrowy i zakochany, aczkolwiek głodny, i modli się doń, gdy mu syn ma umrzeć. Lecz prawda—wszak to człowiek—schemat!

„Mocarz-Głód" jeszcze w większym stopniu uwydatnia brak indywidualnego bohatera, lecz potęgą i niesłychaną jaskrawością przewyższa poprzednią sztukę. Niewiadomo, czy się uda zobaczyć „Mocarza-Głód" na scenie. Wystawiony w teatrze dramat ten zamieniłby się w straszny sąd i groźbę, w ponurą wizyę apokaliptyczną. Artyzm nie dałby się odczuć, przytłoczony nadmiarem grozy. Byłoby to spojrzenie Eleazara.

Lecz w czytaniu, gdy fortissima głosów i obrazów nie tak szturmują do zmysłów, można ogarnąć i pojąć wspaniałą symfoniczność „Mocarza-Głodu" z wyeliminowanym leit-motywem.

Bohaterem tu jest Wielogłów—Tłum. Wszystkie sceny z wyjątkiem prologu są zbiorowe. Tłum nieindywidualny, składający się z cząsteczek, z chwil, przemawiających parę słów i niknących, rzucony na scenę, przygniata ją prawie ogromem męki i zbrodni. A ponad nim góruje ton przewodni, idea tłumu, dźwignia i bodziec jego czynów, ku większej wyrazistości z bezosobistych piersi wyjęta i upostaciowana: Mocarz-Głód i Śmierć.

Dwie straszne postacie: Śmierć w ponurej draperyi i wysmukły,

długi Mocarz-Głód w płaszczu królewskim—powtarzają się w każdej scenie, jak refren.

Oto na dzwonnicy rozmawiają Dzwonnik - Czas, Głód-Mocarz i Śmierć; Głód-Mocarz obiecuje Czasowi nadejście chwili oczekiwanej, Smierci—bogate żniwo. W rzeczy samej schodzi ku Głodnym, dzieciom swoim. Obiecuje im być z nimi. Wspaniałe efekty dekoracyjne przedstawia scena w hucie, przy blasku ogni w piecach i w piwnicy, gdy Głód-Mocarz agituje motłoch, a na górnem piętrze nad ni mi widać bal, zakochane pary, przepych i wesołość.

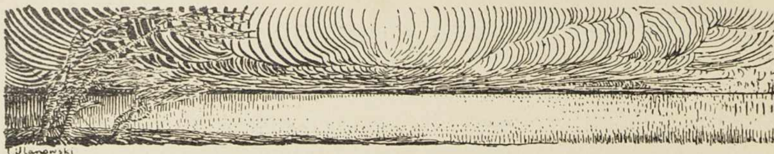
Wybucha bunt. Scena przedstawia przerażoną burżuazyę, która usiłuje się bawić w oczekiwaniu strasznych wypadków. Dzięki wynalazkowi inżyniera i zdradzie w szeregach Głodnych, bunt zostaje stłumiony. Uspokojona burżuazya przechadza się po polu zasłanem trupami Głodnych i cieszy się zwycięstwem. Lecz oto zjawia się Głód-Mocarz, zwraca się do swych martwych dzieci. Na jego zaklęcie odpowiadają trupy: „Umarli powstaną—biada zwycięzcom!“ I w popłochu ucieka z pola śmierci syte stado zwycięzców...

Jakże inaczej potraktowany został temat pokrewny w „Jutrzniach“ Verhaerena, gdzie nie obeszło się bez bohatera indywidualnego, i gdzie tragiedya zbiorowa zakłóconą została przez szablonowe sola...

Jakikolwiek będzie nasz stosunek do Andrejewa, powinniśmy pamiętać, że mamy przed sobą zjawisko wyjątkowe: człowieka, którego nic nie obchodzi (nie w znaczeniu ignorancyi), że istniała na świecie grecka tragiedya, renesans, realizm, romantyzm i t. d., i który pisze najzupełniej poswojemu, nie przykrawając nowych faktów życia do starych kanonów.

A w życiu rosyjskiem jest tym, który duszy dał głos przed zjawą zewnętrzną...





JAN LEMAŃSKI

Prawo własności

(Piosenka)

Mea res agitur
Proximi dum paries ardet

I

Pomiędzy JA i NIE-JA gdzie granica jasna?
Która z rzeczy mi cudza? a która mi własna?

Czy śpiew, ton, dźwięk, że mój, więc będzie mi eolski?
Czy przeciwnie: że piękny, a przeto mój — Polski?

Czy wszystko, co na świecie śmiałe jest i chrobre,
Jest Polską?.. Czy też tylko co Polskie — to dobre?

Hm?.. nie wiem. Moją żonę pięknem zowią drudzy,
A ja? I ja gustuję w żonie, ale — w cudzej.

Stąd więc, o ile mi się zdaje, słusznie mniemam,
Że piękną nie jest żadna rzecz, której JA nie mam.

A skoro tylko moją stała się rzecz cudza,
Zaraz się we mnie wszelki do niej gust ostudza.

Może to właśnie Polska własność?.. Spójrzmy w duszę.
Mój pradziad zmarł z pieniactwa o miedzową gruszę.

Mój dziad, prawdziwy Polak, więc chłop zuch, jak dyabli,
Pospolicie zdobywał *rzecz* machaniem szabli.

Gdy zmarł na własnym gruncie, legł we własną jamę,
Wieczny mu odpoczynek niechaj będzie. Amen.

II

Przed ławą szkolną, w ławie, na ławie, za ławą,
Każdy z nas kuł, lub kuto weń własności prawo.

To jest własnością twoją, na co kładziesz rękę:
Wszyscyśmy obkuwali, wszyscy tę piosenkę.

Od kolebki ten morał ssiemy z piersi mamek:
Aby własny zamykać dom swój - ul na zamek.

Tę piosenkę od pieluch nucą nam matule:
Bądźcie słodcy i bądźcie pękaci, jak ule.

Chociaż kwiat wam nachyla darmo kielich z miódkiem,
Wy miód swojego ula chowajcie pod kłódkę.

Tak nas pap zbiór i mam zbiór, i zbiór praw naucza:
Nie wyżyjesz na świecie bez zamka i klucza.

Karnym się i cywilnym ogródź kodeksami.
Oprócz tego, przy budzie, na łańcuchu psa miej!

Okuj drzwi kas żelazem, w okno wmuruj kratę!
Kup pistolet, kup prochu, kup kul, kup armatę!

Tak trzymając swój z miodem ul w wojennym stanie,
Możesz pewnym być, że ci krzywda się nie stanie.

III

To własnością jest twoją, co twa ujmie *ręka,*
Jeszcze do dziś nam dzwoni w uszach ta piosenka.

Chcesz mieć własność, jest na to jeden tylko środek,
Jeden „klucz“: klucz od zamków, zatrzasków i kłodek.

To ideał, mój bracie, ula. Kto go łamie,
Ten za karę, pamiętaj — siedzi w „ula“ jamie.

Więc jeżeli ci przyjdzie chęć w mój ul się włamać,
Bracie, do rąk cię własnych władzy oddam, psiamać!

Bo obydwom nam jedna śpiewała matula:
„Miej ul swój!“ Ja już mam swój: idź i ty, „do ula“!

O zamkach słyszeliśmy oddawna od mamek.
Więc ponieważ ja mam swój: idź i ty „pod zamek".

To *moje*, a to *twoje*: ściśle rozgraniczaj.
A nie, to, bracie, w ulu cierp za nieobyczaj.

Co tu, bracie, owijać w bawełnę i kłamać:
Ja zamki wolę stawiać, ty — wolisz je łamać.

Bracie mój, bliźni bracie, przeto się nie gorycz,
Że mamy różną własność: ja miód, a ty — gorycz.

IV

Patrz na mnie. Ja mam zamek. W zamku moim — sale;
W salach—dzierżawcy „kluczów": poddani, wasale;

A w wasalach—czół-bitność: korni, pełni drżączki,
Schylają się do kolan i „całują rączki".

Tego człek szczypnie w ucho, tamtą człek poklepie,
I... ech—rób, coć się tylko zaroi w czerepie.

Oto szczęsnego losu najlepsza poręka:
Jest własnością to, na czem twa spoczęła ręka.

Więc szerokie miej ręce, zgarniaj, ile starczy,
I na zamek. Pod progiem twoim pies niech warczy.

Niźli cietrzew na sęku, lepszy w ręku wróbel,
Więc oburącz go łap i zamykaj na skóbel.

Skóbel, klucz, kłódka, zatrzask, pies i brzęk łańcucha
Niechaj nie wpuszcza w zamek twój *żywego* ducha.

Albowiem nas tej prawdy doświadczenie uczy:
Nie wyżyjesz na ziemi bez zamków i kluczy.

Nawet niebo ci święty Piotr otwiera... z klucza.
Nawet niebo!.. i niebo klucza nie wyklucza!

V

Jest jedna własność, która mniej, niż piach ten w Wiśle,
Ceni się i ochrania, mniej zbożnie, mniej ściśle:

A jest nią WŁASNOŚĆ DUCHA... O, miasto Warszawo,
Ducha praw twych nie broni w tobie żadne prawo.

Duch twój z pod praw wyjęty, błędny, jak banita.
Psom gryźć go u nas wolno, gdy w nasz „ul“ zawita.

. . . .

Dwóch synków miała mama. Śpiewała im — Lulu!
Dziś jeden z miodem ul ma, drugi — „siedzi w ulu“.

Dwom synkom śpiewywała mama — Lulu! — słodko;
Dziś jeden się „ululał“ a drugi pod kłodką.

Dwaj synkowie z pap jednych, z jednych mam i mamek:
Dziś jeden jest „pod zamkiem“, a drugi — ma zamek.

. . . .

O, miasto pełne zamków i kluczy, Warszawo,
Ducha nie strzeże w tobie żadne, żadne prawo!

O, miasto pełne zamków i kłodek i kluczy!
Co jest własnością twoją Ducha — nikt nie uczy.

Pełne psów z łańcuchami i psów bez łańcucha,
Miasto, bronisz swych skarbów, lecz nie skarbów Ducha.

VI

Zamykać swój kuferek wolno mi na kłodę.
Lecz do arki mej Ducha, kto chce, włazi w szkodę.

Wolno mi rząd zatrzasków mieć i zamków szereg.
Lecz wolność Ducha liczy mi *Ul* do usterek.

Wolno mi nagromadzać dóbr, jak piachu w Wiśle,
Lecz mi niewolno mnożyć ducha niezawiśle.

Własność w psy, kłodki, zamki i w łańcuchy zbrojna
Jest jedynie naprawdę cenna i dostojna.

Bez zamków, bez łańcuchów ludzie — to urwisi.
Zaraz, panie, takiego za hals — i niech wisi!

My, w zamkach, mamy klucze: on użył wytrycha.
Nas fortuna w kolebkach, jego — kat kołycha.

Od kolebki uczyły nas nauczycielki:
Źdźbła w oku bliźniem dojrzyj, choć w swojem masz belki.

Przeto za źdźbło skradzione z kufra nam niewielkie,
Pod naszem własnem okiem, winny — marsz na belkę.

O, miasto, pełne zamków i belek, Warszawo!
Ducha nie strzeże w tobie żadne, żadne prawo!

VII

Twój duch — to *res nullius*, właściciela nie ma.
Łamać go pies nie broni ni praw anatema!

Od najścia duszy naszej bronić jakąż drogą?
Nasz duch — to nieużytek, pustosz, *rzecz nikogo*.

Wywłaszczony *servi*tut w kluczu Europy,
Tratowany przez gminne uwłaszczone stopy.

Nasz duch-gminu *servi*tut, wspólny szmat pastwiska:
Servus każdy w nim ryje, każdy *serv* w nim pyska.

Nim coś tu zdąży urość, za moment króciutki
Zćpają to uwłaszczonych gmin trzody i trzódki.

Wywłaszczony *servi*tut skubie cała wioska,
A zorać go i zasiać jakiż *serv* się troska?

Wszakże to *res nullius* — rzecz bez Ducha-Króla,
Duch nasz w ulu jest: w miodzie, albo w celi „ula".

O, miasto pełne zamków i uli, Warszawo!
Ducha nie broni w tobie żadne, żadne prawo!

Dusza twoja to pustosz leżąca odłogiem,
Dusza twoja — głusz cierniem bolesna i głogiem.

VIII

Dwóch synków miała mama, śpiewała im „lulu".
Jeden ul ma i miód ma: drugi — siedzi w ulu.

Jeden synek ukochał życia miód słodziutki:
Psy złe na *sforach* trzymał, zamki miał i kłódki.

Drugiego *niesfornego* miała taż matula:
Roił „zamki na lodzie", roił „Ducha-Króla".

Jeden chciał w swego brata wmówić przez *par force*'y:
Że TY, bracie, a nie JA, jesteś ten najgorszy.

Pamiętał brat ten bardzo dziecinną piosenkę:
Że własnością jest wszystko, na co kładziesz rękę.

Że, aby sobie *swego* majątku przymnożyć
Dość jest na *swego* brata „ręce swe położyć“...

Drugi syn myśli grotem godził w Ducha sedno:
Aż ugodził w tę prawdę: TY i JA — to jedno.

I cokolwiek na ziemi TY stworzyłeś złego,
JA zwę to EGO-izmem: *quia peccavi ego.*

I cokolwiek się w życiu dobrego poczyna,
To jednako jest moja — moja wielka wina.

IX

Co własność? Nie wiem (wyznam w ducha wam pokorze):
Czy *mam* to, co spożywam? czy *mam* to, co tworzę?

Czy jest lepiej, jeżeli trochę się poczeka,
Aż *ktoś* stworzy, a potem — za hals tego człeka?

Czy też ja mam *sam* dział swój ulepszyć najżyźniej
I czekać, aż posprząta mój plon i zje — bliźni?

Czy być drzewem, które się o to li kłopoce,
By mieć owoc?... Czy panem być i trząść owoce?

Czy, jak plon, dać się głupio zsypać w loch, pod zamek?
Czy dbać tylko o mądrość zatrzasków i klamek?

. . . .

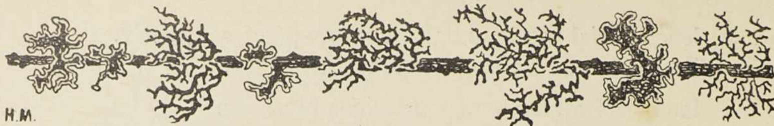
Gdy wymaganiom pańskim życia czynię zadość:
To grzech mój — wielki grzech mój, lecz i wielka radość.

A kiedym owoc zrodził panom na uciechę:
Jest to moją radością, lecz i moim grzechem.

A więc chyba utrafię tem najbardziej w sedno:
Gdy powiem: TO i TAMTO, JA i Ty — to jedno.

Po tej stronie: bal, pętla — w niej honoru legia;
I po tamtej bal, pętla, kat, grób i.... elegia.





W. LIS

Sprawa narodowa w Galicyi a Koło polskie

Wstąpienie ludowców do Koła polskiego w parlamencie austryackim powiększyło ilość członków reprezentacyi polskiej z 54 na 71. Koło stało się trzecią zrzędu, co do liczebności, grupą parlamentarną (po chrześciańsko-socyalnych oraz socyalistach). Wzrosła jego powaga, powiększył się wpływ na sprawy publiczne, co przejawiło się już chociażby w tonie odpowiedzi ministra spraw wewnętrznych na przemówienia radykałów rusińskich podczas dyskusyi o galicyjskich nadużyciach wyborczych. I jeżeli ta zmiana stosunku ludowców do Koła, jako wyraz ich oryentacyi naprawo, potępianą bywa przez wielu, między innymi—przez nasze organy postępowe, to z drugiej strony ciągle spotykać się można z wyrazami nadziei zdobyczy narodowych, które spaść mają na Galicyę z powodu wzmocnienia wpływu jej reprezentacyi.

I napozór tak być powinno. „Burżuazya“ jest, jak wiadomo, wszędzie „nacyonalistyczna“, więc i w Galicyi dążyć ona powinna do rozszerzenia „stanu posiadania“ narodu polskiego. I niejeden z nas prawdopodobnie w cichości ducha mówi sobie, że nie potrzebujemy solidaryzować się z tymi ukrytymi lub wyraźnymi reakcyonistami, ale jeśli oni tam coś dla nas wydostaną, to i owszem!

Tymczasem niewszystko, co jest „samo przez się zrozumiałe“,— jest prawdziwe. I właśnie jednem z największych kłamstw konwencyonalnych, w które jednak chyba dostatecznie obfituje szare życie polityczne, — są wszelkie uzyskane już lub mające być uzyskanemi zdobycze narodowe Koła polskiego.

Żeby się o tem przekonać, weźmy sprawę *autonomii* w Galicyi. Wobec zupełnego w chwili dzisiejszej braku jakichkolwiek dążności

seperatystycznych wśród polonii austryackiej (godzą się pod tym względem wszystkie stronnictwa), autonomia jest wcieleniem dążeń narodowych i będzie niem dopóty, dopóki nie stanie na porządku dziennym przekształcenie ustroju wewnętrznego monarchii austryackiej, lub póki nie powstanie poza jej granicami jakiś centr, wywierający na Polaków galicyjskich i śląskich działanie przyciągające. Otóż największą przeszkodą do rozszerzenia autonomii galicyjskiej jest właśnie Koło polskie i jego rządy w kraju.

Nie byłoby ono nią w tym wypadku, gdyby zarówno sejm, jak rady powiatowe, gminne i miejskie wybierane były przez całą ludność, i gdyby wszelkie władze, administracyjne, szkolne, sądownicze i t. p. zależne były od tegoż ogółu, czy to przez odpowiedzialność władz przed wybieranemi w powszechnem głosowaniu ciałami prawodawczemi, czy też przez bezpośrednią obieralność tychże władz (jak to się dzieje w Szwajcaryi). Ale tak nie jest. Ludność robotnicza miejska i wiejska, biedniejsi chłopi, znaczna część inteligiencyi nie bierze wcale udziału w wyborach do ciał autonomicznych, reszta ludności głosuje według wysoce niesprawiedliwego systemu wyborczego, a administracya zależna jest bezpośrednio od ministeryum, pośrednio od rodów magnackich, które ją zmonopolizowały. Wobec tego ogromna większość ludności nie ma żadnych widoków uwolnienia się od nadużyć władzy, o ile nie obroni jej minister, trybunał najwyższy lub rozprawa w parlamencie, wywołana przez którego z posłów. I jak można przypuszczać, że ludność wzdychać będzie do rozszerzenia tej autonomii, która każdego dnia daje się jej we znaki?

Weźmy przykład. Galicyjska Rada Szkolna miała dawniej prawo mianowania nauczycieli i dyrektorów gimnazyów i szkół realnych. Ale działy się z tego powodu tak straszne nadużycia, tyle skarg sypało się do ministeryum, że skorzystało ono z tego i zniosło te prerogatywy Rady Szkolnej. I dziś, chociaż stan gimnazyów galicyjskich bynajmniej nie może służyć za wzór, jednak, gdyby dawne przywileje zostały wrócone polskiemu „ministeryum oświaty“, — nie ulega wątpliwości, że mnóstwo ludzi załamałoby z tego powodu ręce.

W ten sposób, sprzeciwiając się zacięcie zdemokratyzowaniu instytucyj krajowych, Koło polskie odbiera ludności ochotę do rozszerzenia ich kompetencyi, zabija naturalne i istniejące faktycznie dążenia autonomiczne.

Niekoniec na tem. Koło nietylko *negatywnie*, ale i *pozytywnie* przyczynia się do utrzymania w Galicyi status quo, wstrzymuje postęp narodowy. Żadna bowiem zdobycz narodowa nie jest możebna bez walki. Partye niemieckie wszelkich odcieni (z wyjątkiem socyalistów) przeciwne są rozszerzeniu zakresu języka polskiego, utworzeniu nowych instytucyj polskich i t. p. Nie mają one w tem coprawda wielkiego interesu narodowego [1]), gdyż element niemiecki w Galicyi jest znikomo słaby, ale wpływają na nie dwie pobudki: 1) każda nowa narodowa instytucya polska równa się powiększeniu korzystania z dochodów ogólno-państwowych przez Polaków, 2) za koncesyami dla Polaków musiałyby pójść ustępstwa na rzecz Czechów, Słoweńców, Włochów i t. d. — a tu już w grę wchodzi bezpośredni interes narodowy niemiecki. Trzeba zatem opór tych Niemców zwalczyć, a do tego Koło polskie nie jest zdolne. Jest ono bowiem związane milionem nici z każdorazowem ministeryum: potrzebuje jego pomocy do przeprowadzenia wyborów w swoim interesie, do zachowania wpływu swego na administracyę, wreszcie każdy prawie poseł załatwia w Wiedniu cały szereg spraw, które przynoszą korzyść materyalną albo jemu, albo jego krewnym, sąsiadom, wyborcom wpływowym. I pod działaniem wszystkich tych pobudek Koło zwykle ogranicza się do wylewania swych uczuć narodowych na łamach pism galicyjskich, ale, gdy przychodzi do głosowania nad budżetem czy inną sprawą, — ulega naciskowi ministrów i nie podnosi danej kwestyi. A ministrowie, czy to dla uzyskania spokoju ze strony Niemców, czy też z własnego popędu, zawsze ten nacisk wywierają. W ten sposób stajemy się świadkami tego arcykomicznego i napozór niezrozumiałego zjawiska, że pewne postulaty narodowe polskie od dziesiątków lat stale głoszone są przez pisma galicyjskie zarówno stańczykowskie, jak demokratyczne, a Koło polskie, ta potężna partya, nigdy ich nie przeprowadza.

Weźmy znowu przykład. Od iluż to lat czytamy o potrzebie polskiego seminaryum nauczycielskiego na Slązku, gdzie istnieje ćwierć miliona ludności polskiej, stale i systematycznie giermanizowanej i cze-

---

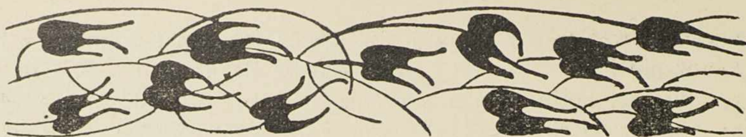
[1]) Z pewnem zastrzeżeniem: na zachodzie Galicyi istnieje grupa Niemców bialskich, złączonych politycznie z hakatystami Śląska i Czech, którzy usiłują zniemczyć te okolice.

chizowanej przez szkołę ludową! Skargi na ten temat powtarzane były rokrocznie i przez „Czas“ i przez „Nową Reformę“ i t. p. Ale zawsze, gdy przychodziło do głosowania nad odpowiednią pozycyą budżetu, znajdowały się zakulisowe wpływy, i Koło polskie kwestyi tej nie podnosiło. I trzeba było, by dostał się do komisyi budżetowej poseł socyalistyczny, Diamand, aby odpowiedni wniosek został postawiony, obroniony i *uchwalony*.

Inny przykład. Żandarmerya galicyjska ma dotychczas język niemiecki w urzędowaniu wewnętrznem. Jest to zupełny bezsens nawet z punktu widzenia służbowego. Przedstawmy sobie bowiem, jak się to odbywa. Żandarm Polak albo Rusin, zwykle chłop z ukończoną szkołą ludową, musi pisać raport o wykrytem przestępstwie do swego zwierzchnika, również Polaka, poniemiecku. Raport ten idzie potem do sądu polskiego, który urzęduje popolsku. Wynikają stąd oczywiście tysiące nieporozumień i mitręga niepotrzebna zupełnie. I regularnie przed każdymi wyborami w wyznaniu wiary wszystkich partyj znajdujemy postulat wprowadzenia polszczyzny do urzędowania żandarmeryi, a pomimo tego anomalia ta istnieje dotychczas i będzie istniała, dopóki nie znajdzie się znowu jaki Diamand, który wymusi jej zniesienie. Koło polskie zaś w Wiedniu ma czas zajęty zupełnie czem innem.

Przykładów takich znaleźlibyśmy tyle, ile jest niezaspokojonych potrzeb narodowych w Galicyi i na Śląsku. Usunięcie ich będzie możliwe, gdy zapanują w Galicyi elementy ludowe, które potrafią prowadzić w Wiedniu politykę narodową. A to możliwem się stanie tylko wtedy, gdy złamaną zostanie przewaga Koła polskiego.





WITOLD PILAWSK

Z Francyi

Wszystkie wybory, jakie się odbywały we Francyi w ciągu ostatnich piętnastu lat, wykazywały stały wzrost lewicy republikańskiej, były nieprzerwanym łańcuchem zwycięstw polityki radykałów z jednej strony, socyalizmu z drugiej, znaczyły zarazem drogę, która doprowadziła do upadku wszystkie odcienie prawicy—nacyonalistycznej, klerykalnej, konserwatywnej. Były momenty—jak np. wybory parlamentarne w maju 1906 r.—kiedy się zdawało, że ewolucya ta daleka jest bardzo od swego kresu, że należy, przeciwnie, oczekiwać, w ciągu najbliższych lat jeszcze silniejszego zwrotu opinii publicznej kraju w kierunku lewicy społecznej. Przewidywania te miały swe główne źródło w krótkowzroczności politycznej, w nieuctwie społecznem i historycznem olbrzymiej większości kierowników „opinii", wielkorządców prasy. Już bowiem w chwili samego zwycięstwa królewskiego, jakie odniosła dwa lata temu demokracya francuska, istniała i działała przyczyna głębokiej zmiany w łonie naczelnego stronnictwa lewego bloku. Przyczyną tą był i jest pokaźny wzrost ruchu robotniczego, wzrost przytem podwójny: polityczny — dzięki zwycięstwu wyborczemu zjednoczonej partyi socyalistycznej, i ekonomiczny—dzięki powstaniu i niesłychanemu rozwojowi syndykatów, które nadają dzisiaj nową zupełnie i niezmiernie ciekawą barwę kwestyi robotniczej we Francyi. Przeciwko tej wzrastającej potędze „kollektywistów", „antymilitarystów", przeciwko niebezpieczeństwu, grożącemu „ojczyznie" ze strony „antypatryotów", musiała się siłą rzeczy wytworzyć pewna odporność śród burżuazyjnych a silnie patryotycznych radykałów. I radykalizm począł się cofać z już zajętych, a bardzo w kierunku „państwowego" socyalizmu wysuniętych pozycyj. W przeciwstawieniu do kollektywizmu „Zjednoczonych" poczęto bagatelizować potrzebę reform, uznawanych wczoraj za naglące, ale które mogłyby przemawiać na rzecz ewolucyi kraju w myśl socya-

listycznych koncepcyj; w przeciwstawieniu do antymilitaryzmu i antypatryotyzmu syndykalistów uderzono w cymbałki nacyonalistyczne.

I antymilitarysta francuski w żołnierskim mundurze, zagnany w piaski afrykańskie, w imię ojczyzny, w imię „pierwszego kraju świata“ roztwiera bagnetem zbuntowane piersi Marokańczyków... Wydrze serce.

Obrona prywatnej własności, obrona „honoru“ ojczyzny! Precz z fałszywymi Francuzami, którzy wolą pokój nad dobroczynną akcyę Francyi w Marokko! Precz z trucicielami młodzieży, którzy zakładają szkoły w duchu antypatryotycznego syndykalizmu! Precz z wyzyskiwaczami robotników, którzy im każą rujnować przemysł narodowy! A pod temi hasłami, zwracającemi się przeciwko *idei* i jakgdyby w imię *idei*, kryje się zwyczajny strach o władzę polityczną i jeszcze większy —o stan posiadania ekonomicznego. Treścią polityki radykałów pod naczelnym (i czelnym w stosunku do własnej przeszłości) kierownictwem Clémenceau stało się zwalczanie ruchu robotniczego. I jeżeli część radykałów (grupa Pelletan'a, *Le Rappel*) tę politykę destrukcyjną zwalcza, a o istnieniu pozytywnego programu reform społecznych stronnictwa radykalnego nieustannie przypomina, to jest to tylko dowodem więcej, jak poważny kryzys przechodzi radykalizm francuski, jak znacznie się przesunęło ku prawicy jego główne skrzydło.

Potwierdzeniem tego są ostatnie wybory municypalne. Jakkolwiek niemożna dziś jeszcze ocenić dokładnie ich wyników ze względu na ogrom materyału statystycznego (36222 gminy wybrały około $^1/_2$ miliona radców), jakkolwiek w wielu gminach decydowały kwestye czysto ekonomiczne i lokalne, a nawet osobiste, to jednak znaczenie polityczne wyborów jest naogół dość doniosłe zarówno ze względu na to, że rady municypalne biorą udział w czysto politycznych wyborach do senatu, które wypadają w roku przyszłym, jak i ze względu na wyżej wzmiankowane przesilenie w konfiguracyi partyj rządzących. Najdonioślejszym wynikiem wyborów jest fakt, że wzrostu lewicy republikańskiej nie było, przeciwnie—w wielu miejscowościach znaczniejszych rady municypalne przeszły w ręce prawicy społecznej. I nie są w stanie zaprzeczyć temu oficyalne deklaracye Clémenceau, który „tryumfuje“ z powodu rzekomego zdobycia przez radykałów około 2 tysięcy mandatów. W istocie rzeczy „zwycięstwo“ to jest porażką, gdyż do radykałów zaliczyła statystyka oficyalna postępowców (*progressistes*),

którzy istotnie odnieśli wiele zwycięstw, ale którzy... zwalczają politykę *demokratyczną* radykałów, popierają zaś obecne szukanie przez rząd oparcia w prawicy elementarnej!

Antysocyalistyczna akcya gabinetu i radykałów wydała już owoce. W Paryżu „Zjednoczeni" stracili trzy mandaty, stracili ponadto Montluçon, Limoges, Marsylię, Roubaix, Brest, Tulon, Dijon, Tuluzę — miasta, w których dotychczas rządzili niepodzielnie. Te straty socyalistów radykali również głoszą za swoje zwycięstwa! Ironią tych „zwycięstw" jest fakt, że zwycięzcami rzeczywistymi są — nacyonaliści i postępowcy, nie zaś — radykali. Utrata wielu mandatów socyalistycznych tłumaczy się głównie popieraniem kandydatów prawicowych w głosowaniu ścisłem przez radykałów. W głosowaniu bowiem pierwotnem ilość głosów socyalistycznych wzrosła wszędzie, jakkolwiek mniej, niż się tego mogła partya socyalistyczna spodziewać. W Paryżu przybyło dziesięć tysięcy głosów socyalistycznych.

Względna przegrana socyalizmu dała sposobność prasie burżuazyjnej do rozpoczęcia nowej, a tym razem tryumfalnej i jakgdyby na opinii powszechnego głosowania opierającej się naganki na ruch robotniczy. Ruch ten tymczasem stale potężnieje. Uroku spokojnej, ale stanowczej siły nabrał niedawno skutkiem upadku lock'aut'u budowlanego w Paryżu. Nowe zwycięstwa zapisały na kartach jego dziejów kongres syndykatów nauczycieli rządowych i kongres pracowników kolejowych..

E pur si muove!

Paryż, w maju 1908





H. ST. P.

Aleksander Smaczniński

Człowiek czynu. Żołnierz, ziemianin, pisarz. Syn wizytatora szkół publicznych, Wincentego, urodzony r. 1845 w Piotrkowie, po ukończeniu szkół warszawskich, jako młodzieniec ośmnastoletni, rzucił się w wir wypadków roku 1863. Wypadło emigrować. Zagranicą uczył się dużo i owocnie, ukończył akademię rolniczą w Hohenheim i odbywał studya w różnych miastach uniwersyteckich; zbliżył się z Mierosławskim i innymi wybitnymi patryotami. Po powrocie dwukrotnie i długo był więziony w cytadeli z oskarżenia o czynny udział w powstaniu. Nareszcie dobił szczęśliwie do względnie spokojnego portu — wioski swej pod Nowem Miastem, Sacina. Nieprzyjazne jednak warunki przerzuciły go w r. 1889 na bruk miejski. W Warszawie oddał się pracy publicystyczno-literackiej. Między innemi przez lat szesnaście był kierownikiem „Tygodnika Mód i Powieści". Tu ku końcowi roku ubiegłego spotkał go zawód, który znacznie pogorszył niedomaganie przejściowe i stał się ostatnią przyczyną śmierci. Wrażliwa dusza, nieumiejąca się bronić przeciwko zabiegom płaskim, handlarskim, głęboko odczuła rozczarowanie doznane, nieposzanowanie tyloletniej wytężonej pracy, nieposzanowanie zasług i prawości. A praca była istotnie wytężona. Przed kilku laty zmarły żartobliwie obliczał, ile złożyłoby się tomów z jego artykułów i książek: wypadło wtedy około siedmdziesięciu — dużych, po kilkaset stron w każdym... Z tych oddzielnie wydał powieści: „Zbłąkani", „Na dnie otchłani", „Samodzielna", pozatem tom „Nowel", dwa tomy „Ze wspomnień". Nie ujrzał już drukujących się właśnie opowiadań swych „Z za kraty": zakończył pracowity żywot w dniu 14 czerwca.

Czynny świadek wzruszających porywów i przejść, gawędziarz wyśmienity, był niewyczerpany w barwnych opowieściach o czasach minionych. Opowieści te były okraszone smętnym humorem, a drgały życiem i prawdą. Toteż młodzież, którą ko-

chał, zwartem gronem otaczała kochanego wzajem „Redaktora". Pamiętam, jak tęsknili-śmy do niego, gdy przed kilku laty znagła, bez powodu, zmuszony był jeszcze prze-być paromiesięczne uwięzienie...

Przed miesiącem, gdy zdrowie pozornie się polepszyło, powrócił do stałego marzenia życia: spisania szczegółowego pamiętnika o czasach i ludziach. Ustępy swych wspomnień miał drukować w naszym „Witeziu". Z ożywieniem mówił o przedmiotach najbliższych fragmentów. A byłyby one ciekawe nad wyraz i pouczające: miał je spisywać człowiek, który tyle widział, tyle czynił i cierpiał, — nadto człowiek głęboko wykształcony, mądry i prawy, umiejący dokładnie ocenić zarówno ludzi i wypadki, jak przyczyny i skutki spraw. Nie mógł już dokonać zamierzenia...

* * *

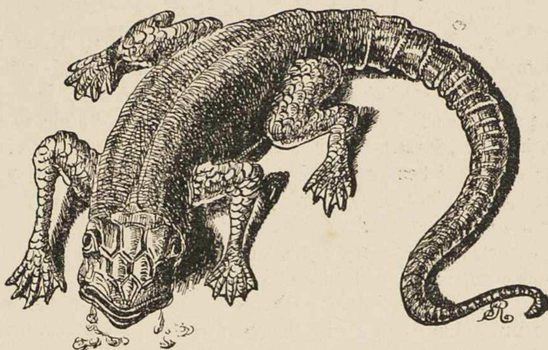
A gdy przejdzie się myślą żywot człowieka, który odszedł: człowieka o charakterze nieskazitelnym i gołębiej duszy, który — mimo ciężkie przejścia ogólne i osobiste, mimo straty najbliższych ukochanych i przecierpiane bóle — był prawie zawsze pogodny, bo przeżył czynnie okres najwyższych uniesień i umiłowanej idei swej wiernym do końca pozostał, którego życie kołysało wszystkiemi, zda się, nadziejami i chłostało wszystkimi zawodami, jakie tylko przejść można, i który do końca nienaruszone poczucie pewności słusznej swej sprawy zachował, — rzec trzeba: przeżył wszystko...

Chociaż więc żal serdeczny i tęsknota towarzyszy i towarzyszyć będzie każdej myśli o zgasłym Żołnierzu — —

zaiste nie wiem: czy Cię żałować, czy Ci zazdrościć mam, Stary Przyjacielu...



MISERICORDIA



(ja) Głosił p. Kramarz: „Równość, Wolność, Braterstwo!" – A głosił z takim ogniem, zapałem, entuzyazmem — że się rozczulił nietylko hr. Bobrinskij, ale nawet najrozważniejszy — co mówię! — pierworodny nowoczesnej rozwagi polskiej — zapłonął, drgnął, skrzydlaty rzucił aforyzm:

„Sprawa słowiańska stała się sprawą polską bez żadnych zastrzeżeń".

Zaiste — nikt z myślicieli ani gieniuszów świata nie zdobył się jeszcze na tak obfitującą w wieloraki sens tezę.

Przeto zdumiały się rzesze – na chwilę. Ale w następnej już chwili zahuczał chór komentatorów.

A każdy z nich miał racyę — każdy zosobna — omal nie wszyscy razem.

Podobno sam nawet o. Heliodor, znany ze sceptycznego nieco względem Polaków usposobienia, słysząc to Słowo „nowoczesne", rzekł melancholijnie:

„Pan Roman ma racyę! Ja również oddawna mówiłem, że Polaków wytępić trzeba!"

Różne są bowiem na sprawę Słowiańską poglądy — a do wszystkich zarówno przypada aforyzm lotnoskrzydły.

Tu mądrość.

Naprzykład:

1. Słowiańszczyzna — na wolności, równości, braterstwie oparta — cóż piękniejszego, szczytniejszego? To Królestwo Boże!

Ale — czyż ludzie różnojęzyczni i różnowierni — mogą naprawdę być sobie braćmi? Wolnymi i równymi?

Nie! Sto razy — tysiąc razy — milion miliardów razy *nie!*

Przeto:

Jeden język, jedna wiara, jedna władza — oto są konkretne odpowiedniki abstrakcyjnych haseł równości etc.

Kto się nie zgadza na to — ten nie chce być Słowianinem. Nie chce — więc nim nie jest.

W łeb go!

To rzekł p. Roman bez zastrzeżeń!

2. Wolność, Równość i... miłość! — bo p. Kramarz — ręczę panu — przez pomyłkę jeno powiedział: „braterstwo“... O! Miłość, miłość — „kwiecie różany“ — jak mówi El czy Wyspiański... Wszyscy Słowianie muszą, — ale to koniecznie muszą się kochać! Pan Roman bardzo, bardzo trafnie to ujął: „Sprawa Polska jest...“ Ach! Nie! „Sprawa Słowiańska jest...“ Znów nie tak, ale to wszystko jedno... Główne — miłość bez zastrzeżeń... Rozumie pan? Bez żadnych za-strze-żeń... Znam pewnego esauła... Powiadam panu — Słowianin — całkiem naturalny... Ale co za.. za... co za... uczucie! Zresztą, — i śród huzarów... dragonów nawet... A Czesi? Owszem, zdarzają się wcale, wcale... Podobno Bułgarzy i Serbowie też... Ach! Tak jestem wdzięczna p. Romanowi — — —

3. My — Polacy – nie potrzebujemy się nawet łączyć ze Słowiańszczyzną, — bo zawsześmy byli z nią złączeni węzłem nierozerwalnym. Kolega Dmowski, jak zawsze, gienialnie powiedział to, co wszyscy zawsze wiedzieli... Nasz wieszcz narodowo-demokratyczny... przepraszam... narodowy, Adam Mickiewicz, mówi: „Porzuć lokaja...“ — przepraszam... Piję zdrowie Słowiańszczyzny, Romana i Adama.

4. A to się będziecie mieli zpyszna, przeklęci Ukraińcy! Teraz Polacy z nami, z nami bez zastrzeżeń. Czekajcie, chamskie nasienie, hajdamaki, rizuny! Poznacie, co to starorusini... My was nauczymy „Równości, Wolności, Braterstwa“ w Słowiańszczyźnie... Was, a i Lachów wraz... Panie Romanie! Daj bracie gęby, dajcie pyska... Niechaj swojego swój uściska!..

5. ...Widzicie łzy, łzy uznania, rozczulenia w moich oczach, kolego, bracie Romanie — Słowianinie. Ja, Puriszkiewicz, — rozumiem was, rozumiem... Jedno jeszcze: porzućcie ten swój zaskorupiały, zbutwiały zachód, przyłączcie się do związku naszego... Ja, Puriszkiewicz, błagam was — dajcie dobry przykład tym lachom „bezmozgłym“... Wszakżeście rzekli, że sprawa Słowiańszczyzny... bez zastrzeżeń...

6. Byłem — jestem — będę przeciwnikiem Dmowskiego... Ale to mu się udało! Bo to chyba jasne, że wyrazu „Słowiańszczyzna“ użył on dla konwenansu. Zresztą — wszystko jedno — byle się raz urwało łeb tym przesądom narodowym. Człowiek powinien być człowiekiem, a nie tam Niemcem, Francuzem, Polakiem, Czechem, czy choćby nawet... hm!... Żydem...

7. Ależ, panie!.. Toż to jasne, jak na dłoni! Tu nie może być dwóch zdań! Co jest sprawą Słowiańszczyzny? Polska! Rozumie pan: Polska!! Bez Polski — niema i nie może być żadnej Słowiańszczyzny. Dmowski — ho! ho! To tęgi łeb! On, jak zechce, to potrafi! On *to* właśnie, *to* miał na myśli. Trzeba było być osłem, żeby go inaczej zrozumieć. I tak go też tam zrozumiano. Inaczej — skąd ten entuzyazm u prawicowców nawet? Zdrowie p. Romana!

I t. d., i t. d., i t. d. — aż do powszechnego, jawnego, bezpośredniego i równego z aforyzmu zadowolenia.

Tu mądrość!

* * *

I byłbym się „bez zastrzeżeń“ zachwycał złotym listkiem błyskotliwego ˛afory zmu, gdyby nie...

Wyobraźmy sobie jedno nieprawdopodobieństwo: przepiękna monarchia Habsburgów bierze się za łeb z dostojnem Hohenzollernów mocarstwem — i Słowianie polskiego pochodzenia upikielhaubowani stają oko w oko z uczakowanymi Słowianami niemniej polskiego pochodzenia.

Czyby bodaj na ten wypadek nie zrobić jakowegoś zastrzeżenia w tożsamości sprawy Słowiańskiej ze sprawą polską?

(st) Nie powiem, skąd czerpię opowieść. A nie powiem dlatego, że i tam, cytując słowa „Witezia“, nie wspomina się jego imienia. Ba! — „Witeź“ to „jedno z tych czasopism, w których piękny frazes odgrywa zawsze rolę wskaźnika politycznego“, choć więc usiłuje się zwalczać rzekomą szkodliwość pisma, nie wymienia się jego nazwy: to przecież mogłoby być „reklamą“, mogłoby zachęcić kogo do sprawdzenia cytaty, aby poznał, że acz w cudzysłowie podana, została nieco... przeinaczoną. Mniejsza jednak o to. Zapytać jeno wypada: czy „jedno z tamtych czasopism“, gromiące „poezyę“ naszego „Witezia“, w polityce dawało kiedy jakiekolwiek wskazania istotne? Czy dawało choćby „piękny frazes“? Nie. Szło i idzie zawsze za wiewem od chwilowej większości płynącym, a prócz frazesu — nie pięknego, lecz bezbarwnego... bezpiecznego — nigdy swym czytelnikom żadnej strawy nie daje. Teraz brukowcowi nie podoba się nazwanie rzeczy po imieniu: przedstawienia na Ringach — baletem, snuje więc w artykule wstępnym na ten temat niepiękne frazesy. Och, „jedno z tamtych czasopism“ nie lubi twardej, rzetelnej prawdy! Łatwiej przecie iść przez życie obłudą i rabstwem. Tu trochę, tam trochę... Toteż i autor owego artykuliku, tak dobrze umiejący odróżniać „poezyę“ od „polityki“, podpisał się skromnie:—*ski. Nomen omen. Ski*— to narzędzie wygodne: niezmiernie ułatwia staczanie się w dół po pochyłej...

(m) Sienkiewicz w najnowszym manifeście do narodu zapowiada, że w dalszym ciągu pójdzie tą samą drogą, którą szedł dotychczas. Czyż podobieństwo? A myśmy sądzili, że po katastrofie w sądzie wiedeńskim mistrzowi oczy się otworzą weźmie więc kija sękatego i przepędzi na cztery wiatry tych spryciarzów, co chytrze z jego sławy uczynili siewnik nienawiści społecznej i plemiennej. Pokazało się jednak, że wobec Sienkiewicza większy Pan Rymsza, niż Pan Bóg.

(J) — Mickiewicz napisał w *Panu Tadeuszu* słynny wiersz: „Dlaczego siedzisz w błocie? Siedzę, bom przywyknął“. („Myśl Niepodległa“, nr. 65, str. 805).

— Pytał raz Litwin, nie wiem, dyabła czy Pińczuka: Dlaczego siedzisz w błocie? — Siedzę, bom przywyknął. (*Dziady*, część III — słowa Frejenda).

Mała rzecz, a wstyd!



—— *Stanisław Kutrzeba:* Historya ustroju Polski w zarysie. Wydanie drugie. Lwów, 1908, str. XI + 278.

Organizacya władz publicznych państwa polskiego, określenie zakresu ich kompetencyi i zestawienie krytyczne ogółu instytucyj, stanowiących prawo państwowe polskie, jest to przedmiot niezmiernie ważny zarówno dla badaczów tegoż prawa, jak dla historyka i socyologa.

W ramach tych instytucyj rozwija się i wyrabia z jednej strony pojęcie władzy najwyższej, z drugiej zaś, jednocześnie obok niego, ciągnące się przez całą naszą historyę dążenie do jaknajzupełniejszego wyrażenia wolności. To dążenie, któremu, może i słusznie, historycy nadają nazwę demokratyzmu — rozumie się, ograniczonego pierwotnie tylko do ogółu szlacheckiego — okazało daleko więcej siły żywotnej, twórczej, niż jej posiadała idea władzy państwowej. Wydało ono początkowo znakomite rezultaty i pochodziło z czysto swojskich, rodzimych pierwiastków ducha polskiego w epoce, gdy naród przejęty był zapałem do pracy kulturalnej a samodzielnej.

Lecz gdy prąd wolnościowy w życiu publicznem bardzo szybko uzyskał przewagę, zastęp jego zwolenników i twórców zaczął się troszczyć jedynie o utrzymanie zdobyczy, ku czemu dostarczała mu łatwej pomocy organizacya stanowa społeczeństwa, oparta na przywileju, której ogół szlachecki w tym gwałtownym pochodzie za prawami politycznemi nie zdążył jeszcze rozwikłać w interesie całego narodu jako takiego. Skutkiem tego idea prawa, jako najwyższej normy społecznej, głęboko tkwiła tylko w stanie szlacheckim, który utwierdzić ją zdołał w instytucyach państwowych na zasadzie zupełnej wolności.

Poza obrębem zaś szlachty pozostawały jeszcze miliony chłopów i mieszczan, posiadających wprawdzie swoje prawa stanowe, lecz niezwiązanych niczem z życiem publicznem państwa, tworzących niejako osobne społeczeństwo — osobny naród. Gdy anomalie wynikłe z takiego jednostronnego i z gruntu interesownego poglądu klasy panującej stały się zbyt rażącemi w świetle idei humanitarnych XVIII w., gdy szkodą wynikająca stąd dla państwa stała się widoczną, a wraz z nią zaczęło się umysłom wyższym ukazywać ponure widmo zguby narodowej, postępowo usposobiona część szlachty odważnie i stanowczo przystąpiła do przerabiania anachronicznych przeżytków w ustroju państwowym i społecznym. Najpierwsze już wyniki reform zainicyowanych przez ówczesnych wielkich mężów naszych i przeprowadzane częściowo w sejmach, głównie zaś w nieszczęsnej pamięci sejmie t. zw. delegacyjnym, były niewątpliwie dobre, zapowiadały w dalszym rozwoju fundamentalne odrodzenie kraju i nawet w pewnej mierze dokonały tego. Radykalną reformę Rzeczypospolitej przedsiewziął sejm czteroletni, lecz urzeczywistnieniu rozumnych i postępowych usiłowań narodu przeszkodziła wojna 1792 r. i dalsze wypadki.

Z metody gienetycznej przedstawienia instytucyj prawa polskiego, przyjętej przez prof. Kutrzebę, — metody, krórą jeszcze bardzo długo, a kto wie, czy i nie zawsze, trzeba będzie stosować do nauki tego przedmiotu, wynika konsekwentnie, że podział materyi na pięć okresów oprócz wstępnego ma znaczenie przedewszystkiem tyl-

ko dla historyka. Jeżeli zaś w dziele omawianem chcielibyśmy znaleźć gotowe *compendium* prawa państwowego polskiego, to okazuje się, że na taką pracę trzeba będzie jeszcze poczekać.

Znajomość prawa państwowego polskiego zawdzięcza bardzo wiele usiłowaniom prof. Oswalda Balcera i całego szeregu jego uczniów, do których należy i prof. Kutrzeba. Dzięki tym nowym badaniom prace dawniejszych uczonych, zajmujących się ustrojem państwa polskiego, nawet tak cenne dotychczas dzieło Lengnicha nie może być już dziś uważanem za dostateczne. Głęboko jestem przekonany, że wkrótce to samo powiedzieć wypadnie i o książce prof. Kutrzeby, lecz to bynajmniej nie zmniejsza jej wartości i nie ujmuje w niczem wysokiej zasługi autora.

Traktując same instytucye prawno-państwowe, organy władzy rządowej i ich funkcye w sposób zanadto, zdaniem mojem, treściwy i jakby szkicowy, autor zatrzymywał się dłużej nad faktami wybitnymi, przełomowymi w życiu politycznem narodu polskiego. Zajmowało go przedewszystkiem stopniowe stawanie się państwa w jego formach zewnętrznych, oraz różniczkowanie pojęć narodowych, które ostatecznie w ustroju wolnego parlamentaryzmu odbiły całkiem samodzielnie i swoiście postulaty umysłowości narodowej. Pod tym względem, pomijając niepewne, dla braku ścisłych danych, przytoczenia z okresu wstępnego o organizacyi rodowej i plemiennej, spotykamy w dziele naszego autora wyborne ustępy, w których obszernie wykłada znaczenie najważniejszych kwestyj prawa państwowego polskiego.

Do takich zaliczyć trzeba naprzód nader trafną charakterystykę całego okresu drugiego, czyli właściwie trzeciego, który się kończy podług autora na śmierci Kazimierza W. lub na przywileju koszyckim. Jest to pierwsze ograniczenie formalnej, dotychczas niczem nieskrępowanej władzy książęcej. Immunitety czyli przywileje nadają ton i barwę całemu owoczesnemu życiu społeczeństwa. Są zaś dopiero jednostkowe, bo grup społecznych jeszcze niema, wytwarzają się one właśnie skutkiem prawie identycznej treści przywilejów i układają w stany. Poza uprzywilejowanymi stanami osiadła po wsiach ludność wolna i niewolna zlewała się od XIII w. w jedną masę ludności zależnej. Stało się to pomimo dobrych skutków, jakie dla ludności wiejskiej, to jest dla uporządkowania jej praw, przyniosła kolonizacya, naprzód z Flandryi, a następnie z nad Renu, zapoczątkowana przez klasztory.

Świetnie kreśli autor doniosłe zmiany, wprowadzone do nas przez kolonizacyę obcą, właściwie mówiąc, niemiecką, tak co do techniki rolniczej, jak co do gospodarczego i prawnego ustroju wsi polskiej. Głównie zaś kolonizacya zmieniła stosunek osadników do pana wsi przez ścisłe określenie „świadczeń" czyli prestacyj w pieniądzach, co w pewnej mierze wpłynęło i na uregulowanie wsi polskich niekolonizowanych lub kolonizowanych ludnością polską, lecz przeniesionych na prawo niemieckie. Do skutków tej wielkiej kolonizacyi zalicza słusznie prof. Kutrzeba powstanie miast i rozwój handlu krajowego, gotową, przejętą z Niemiec organizacyę municypiów i władz miejskich oraz cechów.

Ostateczne skonsolidowanie się państwa widzi autor dopiero za panowania Kazimierza W.

Równowaga stanowa pod działaniem żywego, postępowego rozwoju społeczeństwa polskiego zaczęła chwiać się w XV wieku, lecz proces, jaki w tym kierunku na-

stąpił, odbywa się u nas szybciej, niż na zachodzie, gdyż mogliśmy brać stamtąd gotowe już formy państwowe, zamiast wyrabiać je powoli u siebie. Na frankońskich wzorach, pochodzących od kapitularza „De villis“ Karola W., oparta była organizacya grodów (nie miast), które autor nazywa „głównym zrębem organizacyi państwa“. Trafnie oceniano w tej twórczej dobie potrzeby i trafnie wynajdywano sposoby ich zaspokojenia, chociaż później nie umiano zastosować się do warunków zmienionego życia. Szlachta zaczyna pośpiesznie zdobywać swoje prawa, przywilej zanika. Okres absolutyzmu nie był konieczny dla rozwoju Polski, — mogła ona była dojść do tych samych rezultatów, które osiągnęły inne państwa przez dalszy rozwój praw społeczeństwa. Szkoda, że inne stany, oprócz szlachty, nie posiadały dostatecznych sił za sobą, aby się uchronić od pognębienia w tej walce, władza zaś królewska była za słaba, aby je popierać.

Nie mogąc tu z powodu braku miejsca zatrzymywać się nad interesującym rozbiorem prawno-państwowego uregulowania unij poszczególnych dzielnic z Polską, jakoteż obcych krajów, jak Prusy, Ruś, Litwa, Inflanty, oraz stosunku z lennemi Prusami, Kurlandyą i Semigallią, winienem parę słów powiedzieć o poglądach autora na wyrobienie się stałego sejmu polskiego, głównie zaś na gienezę dwóch jego zupełnie odrębnych czynników. Senatu i Izby poselskiej. Jest to pogląd oparty od początku do końca na podstawach współczesnej umiejętności historycznej, zgodny zresztą ze znanemi skądinąd jej wynikami. Na tym punkcie badacz zasad państwowości polskiej przenieść się musiał całkowicie na pole poszukiwań dziejowych i krok za krokiem śledzić ustawiczne zdobycze tak zwanej wolności szlacheckiej, których ciężar przechylił ostatecznie równowagę na zgubę narodu, zwłaszcza, że obok niego działały także rozkładowo i inne czynniki, nieznajdujące właściwego ustalenia w prawie państwowem. Do takich zalicza autor kontraktowy stosunek króla-elekta do narodu, *articulus de non praestanda obedientia*, niebędący wprawdzie polską nowością, lecz już zaniechatnym dawno gdzieindziej przeżytkiem, oraz błędną organizacyę sejmów i wszechwładność sejmików.

Są to wszystko rzeczy znane, lecz po raz pierwszy dopiero prof. Kutrzeba uwydatnił z naukową jasnością całkowite ich znaczenie prawno-państwowe. Przedstawiwszy szczegółowo gienezę urzędów i władz, autor dość mało miejsca poświęcił skarbowości, co do której jednak prace naszych uczonych, zwłaszcza A. Pawińskiego, dostarczają przynajmniej dla pewnych epok sporo materyału. Również krótko i, rzec można, pobieżnie streścił autor ważniejsze momenty okresu reformatorskiego, zapewne z tej przyczyny, że wskutek groźby i nastąpienia kataklizmu państwowego, tylko bardzo nieznaczna część reform mogła być wprowadzoną w życie.

W każdym razie książka prof. Kutrzeby jest nader szacownym nabytkiem dla nauki państwowego prawa polskiego i niewątpliwie z wdzięcznością przyjęta będzie przez ogół. *St. Pyrowicz*

═══ *Jan Rundbaken:* Sladem Rosynanta. Poemat dramatyczny. Nakład Redakcyi „Chimery“.

Ostatnie dziecię „Chimery“ przed nami — dziecię nieodrodne, wszystkimi jej wpływami nacechowane, dziecię tej „Chimery“, która nam dała Norwida i wielkich duchów obcowanie.

Z gotyckiej koronkowej świątyni na śnieżnym Himalaju wyszedł ku nam uczeń, we dwie struny trącając: wieczne i niepojęte. Zpośród ziemskiego trudu wznosi się znów spojrzenie, ogarniające najszersze kosmiczne dale, zpośród ludzkości, która jeszcze „chleba nie dostała", znów rozkwita przepych głodów duchowych, niesytych łaknień „niebieskiej rzeczywistości."

Gdy rycerze dokonań wszelkie pragnienie gasić bieżeli, w artystycznym eremie *rozbudzano* pragnienia, iżby ludzkość wiecznie znała nowych kształtów możliwość, aby nigdy jej nie zaskoczyła beznadzieja skończonej drogi. To było zadaniem „Chimery", które spełniła wśród zarzutów, iż stoi ponad życiem. A co to jest *życie*?.. — zapyta astrolog w gwiazdy zapatrzony. — Dla mnie życiem jest „sen o niepojętem". —

Wbrew mniemaniu karcicieli... „sztuki dla sztuki", nie był swoisty ton „Chimery" igraniem z pięknem, samocelowością kształtu. Zamieszczono w niej wiele utworów, w których rytmika, forma zewnętrzna łamie się i pryska pod naporem ducha, szukającego najpełniejszego, najbliższego do swej treści wyrazu. Kiedy sztuka przestaje być tylko równoważnikiem stanów uczuciowych, wtedy nie wystarcza jej czasami suggiestya muzyki, wspaniała dekoracyjność. Są rzeczy, które tylko muzyką oddać można. Lecz religijny trud, surowy bój z myślami wymaga wypowiedzenia się bezpośredniego, bez— osłon. I wpadają w ronda zwiewnych mitycznych impresyj twarde uderzenia pojęć. Stąd refleksyjność poezyi, zlanie myśli filozoficznej z poezyą — zaspokojenie potrzeby wyrazu dla duszy na tem pograniczu, gdzie sfera intuicyjna nie znajduje określników w myśli ścisłej, gdzie myśl się rozlewa w oceany bezmierne przeżyć, falujących uczuć. Więc: nie igranie z pięknem, lecz najpełniejsze emanacye ducha ku przeobrażeniu jego wiodące.

Dwie są drogi poznania prawdy metafizycznej: albo przez streszczenie w pojęciu – symbolu, albo przez *wyjawianie* istoty zjawisk konkretnych w artystycznem odtworzeniu. Dwie drogi — dośrodkowa i odśrodkowa, dające supremacyę wzruszeniowości lub myśli. Która prawdziwsza, która trudniejsza? Czy stworzenie kształtu życia, czy wyeliminowanie z kształtów nieskończoności treści najogólniejszej? Mniejsza o to — dość, że w naturach wysoce kulturalnych pewne pojęcia stały się już czemś konkretnem, stały się znakiem realnym i obrazowym, wzbudzającym określone stany duchowe, nieodłączne wrażenia piękna. Przeto są prawowitym przedmiotem sztuki. Przeświadomienie myślowe wyłącza żywioł – lecz nie piękno.

„Niezdrowe mgły mistyczne" były objawem niezmiernie zdrowej reakcyi na pozytywizm. Zaprzaństwo najcenniejszego dobra w człowieczeństwie — pytania wobec tajemnicy — nie mogło trwać długo. Lecz przebywanie w regionach wieczności, gdzie czas nie włada, mimowoli wytwarza nieruchomość. Wartości wieczne już są — kto w sferę tę wchodzi, zastyga w kontemplacyi lub ekstazie. Dopiero po wyjściu z tej sfery, wcieleniu się w żywą różnorodność zjawisk, zaczyna się już nie stwierdzanie lub odkrywanie, lecz s t w a r z a n i e. Dzieła podobne, jak „Śladem Rosynanta", są nową świątynią, zbudowaną starej wierze. I owszem: niech ludzkość ma swe świątynie. Lecz niech to nie będzie sztuki struną jedyną. Niech będzie nietylko ducha trwanie, lecz i ewolucya. Po „kolumnie duchów" trzeba dojść ku formie nowej i tę ze siebie wyłonić. Inaczej — cóż po rekapitulacyi „świętej wieków pamięci"? Pozostaje znalezienie nowego przymiotnika dla dawnego podmiotu.

Jeżeli chodzi o dzieło Rundbakena — przymiotnik ten został znaleziony. Spotykamy w niem niezmiernie oryginalne i silne sformułowania wszystkich drgnień duszy. Jest to najczystsza liryka metafizyczna, która nigdzie nie zamienia się w wierszowany traktat abstrakcyjny. Chwilami oczarowuje nas jaki refren, który wypłynął z serca prawdziwego poety. I ten nas przekonywa, że chropawość innych ustępów wynikła jedynie z dbałości o dokładność oddania myśli, niechcącej zatracić się w słowach, choćby w ich najharmonijniejszem brzmieniu.

„Śladem Rosynanta", śladem marzycieli, za którymi się wlecze śmieszność i ironia, idzie bohater. W „Refleksyach bohatera" smutnie spogląda na świat, na którym „dziś dusza ludzka krwawo zgasła", głosi, że „duchowość" — to prawda wieczna twej istoty — i wybiera symbole swych dróg: Gołębia, Wężów, Krzyż i Księgę.

Przeżywszy „Wspomnienia" stacyj swej drogi, bohater w noc św. Jana spala się w świętojańskim kwiecie i wstępuje w „sfery Kryształowe", „dla ludzi po słońce".

Sfera Kryształowa — to „Duszy sfera, w której na wiek zastyga, co w życiu umiera: wspomnienia liche, zgryzota i czar śnionej potęgi".

I-a Sfera nosi znak Gołębia — symbol myśli żądnej niespodzianek, symbol zmian i barwnej wiei życia. Rozgrana fala życia przepływa przed bohaterem, kończąc się radosnem wezwaniem Panteizmu.

W sferze Węża przechodzi szlak szukających boga przez wiedzę — Esseńczycy, Egipt świątyń, Magowie Chaldei, Akademia Bractw Nauki, gmach o dwóch stronach, ugruntowanych przez Arystotelesa i Platona. Niezaspokojona myśl chce się wyzbyć cierpienia — ognia pragnień — wstępuje w III-ą sferę — bez znaku — sferę Próżni, Bezpamięci.

Tu — dwie struny: religijnego kwietyzmu Buddy i ziemskiego buntu archanioła Abbadona — dwie alternatywy zrozpaczonych.

Bohater szuka nowego hasła: ukazuje mu je Don Kichot w szczęściu Golgoty.

W IV-ej sferze—tragiedya chrystyanizmu. Po Golgocie autor przedstawia dalsze stadya myśli Chrystusa — załamanie jej w indywidualnościach wybitnych, różne jej ujecia przez Mereżkowskiego, Dostojewskiego, Słowackiego i t. d. Ostatecznie chrystyanizm kulminuje w Savonaroli, który zapowiada: „Swiat umęczony dam ci, Boże!"

Po śnie chrystyanizmu znów się budzi dążenie ku źródłu, ku pierwszej przyczynie. Bohater wchodzi w V-ą sferę—Księgi—i zachodzi w „sen o Niepojętem".

Tak się kończy szlak idący „śladem Rosynanta", śladem wielkiej tęsknoty. Niech będzie tymczasem na szczycie kolumny duchów człowiek Wszechpojęcia, niech wśród pogardy własnego bólu zapomni nawet na chwilę, że istnieje rzecz święta — maluczkich ból... Bo ktokolwiek przejdzie bezmiary, ten zawsze przyniesie z nich — bunt i założy protest przeciwko „ziemi" — choćby nawet — ukojeniem w wieczności.

Savitri

═══ *Iza Moszczeńska:* Pogadanki moralne. W księgarni J. Lisowskiej. *Tejże autorki:* O wychowaniu religijnem (odbitka z nru 1 „Panteonu"). W księgarni G. Centnerszwera i Sp. Warszawa, 1908.

P. Iza Moszczeńska posiada ogromną zaletę, jako publicystka: dar jasnego, pro-

stego formułowania myśli. Obok żywości stylu, pełnego plastycznych porównań, daje to p. M. pierwszorzędne warunki na pisanie rzeczy popularnych, pedagogicznych. Autorka potrafi przemówić zarówno do inteligienta, jak i do człowieka z ludu. Stąd też umie doskonale pisać dla dzieci. Jej „Pogadanki moralne", mające na celu „jasne określenie dzieciom wartości moralnych i rozjaśnienie spraw i stosunków życiowych", są pisane świetnie, roztrząsają szereg zagadnień życiowych w sposób subtelny i przystępny, tak, że książka ta stanowi niezwykle cenny nabytek dla tych pedagogów, którzy dbają nietylko o intelektualny, ale też uczuciowy rozwój dziecka, nietylko o jego umiejętności, lecz także o charakter. Pogadanki te są tak zajmujące, że je wszystkie odczytałem z prawdziwą przyjemnością, sądzę więc, że dzieci, dowiadujące się o mnóstwie zebranych tam faktów po raz pierwszy, szczerze pokochają tę książkę, pedagogowie zaś znajdą bardzo obfity materyał do rozmów z dziećmi. Znajdą przytem rzecz najważniejszą: *metodę* — metodę żywą, bo polegającą nie na abstrakcyjnem wdrażaniu „zasad", lecz na opowiadaniu przykładów z życia wziętych. Słusznie autorka w pogadankach owych kierowała się zasadą, że „rozmiłowanie w moralnem pięknie czynów szlachetnych jest znacznie pewniejszą dźwignią charakteru, niż obrzydzenie dla niskich, nieuczciwych postępków". Słusznie też brała przykłady z historyi, z bieżącego życia, z bajek fantastycznych, z literatury, gdyż „działając na wyobraźnię, najsilniej poruszyć możemy uczucie i wolę". Książka omawia „tę tylko część nauki moralnej, która dotyczy obowiązków człowieka względem samego siebie", — następna traktować ma o stosunku człowieka do człowieka — rodzinnym, społecznym etc. W danym zbiorku szczególniej pięknie opowiedziano o odwadze, porządku, cierpliwości — zresztą wszystkie rozdziały są znakomite.

„Pogadanki moralne" mogą stanowić żywą ilustracyę, żywy dowód faktu, dziś już nieulegającego wątpliwości, że moralność „bezwyznaniowa" znacznie prościej i skuteczniej wychowuje ludzi, niż religijna, nie mówiąc już oczywiście o barbarzyństwie katechizmowych nakazów. Tę drugą kwestyę oświetla p. M. w broszurce „O wychowaniu religijnem". Autorka przedewszystkiem bardzo trafnie charakteryzuje tam ustaloną jakoby „religijność" naszego społeczeństwa, słusznie zupełnie dowodząc, że wykształcony ogół nasz to właściwie — pomimo nieraz szumnych obron wiary — tchórzliwi indyferentyści. „Bezmyślne przyzwyczajenie, wygodny oportunizm, mdła połowiczność i gładka hipokryzya sprawiają, iż bez protestu pozwala sobie przypisywać wiarę, której wcale nie odczuwa". „Gorliwy kaznodzieja, wyklinający z ambony Darwina, jest w oczach przeciętnego inteligienta bardzo naiwny i zabawny, niemniej jednak dla przykładu, dla uniknięcia „zgorszenia" uczęszcza na jego kazania i wyznaje mu swe grzechy raz do roku, około Wielkiejnocy, starannie przechowując kartki z odbytej spowiedzi, ażeby „w razie czego" nie było ambarasu z pogrzebem". P. M. doskonale zrozumiała w tem bierność, apatyę myślową i ślimaczą „ostrożność" naszego ogółu. W tej ślimaczości leży przecież przyczyna walk wszelkich ludzi czynu u nas z jakimś tępym, bezmyślnym uporem, trzymającym się „zasad" mu niepotrzebnych i w rzeczywistości równie obojętnych jak ojczyzna, społeczeństwo i wszystko, co jest poza własną kieszenią. Trafnie określa też przynależność endecyi do kościoła katolickiego, jako „czysto formalną", „pasportową", poddaje ostrej, niemiłosiernie logicznej kryty-

ce niektóre zabawniejsze katechizmowe nauki i nawołuje do energii wobec zaborczego stanowiska kleru względem naszego młodego szkolnictwa.

J. Kl.

═══ *Lina Boegli:* „Avanti". Listy z podróży naokoło świata. Przekład *Maryi Świderskiej.* Lwów, B. Połoniecki. — Warszawa, E. Wende i Sp.

Lekka, bezpretensyonalna, zajmująca lektura, przynosząca jednak mało pożytku zarówno z artystycznego, jak naukowego punktu widzenia. Autorka, pozytywna, poczciwa, naładowana optymizmem Szwajcarka opowiada w listach do przyjaciółki dzieje lat dziesięciu, spędzonych kolejno w różnych miejscowościach Australii i Ameryki Północnej. Listy te wykazują wybitne zdolności narracyjne i pewien zasób naturalnego humoru. Krainy spotykane charakteryzuje autorka zwięźle i barwnie, przeważnie w formie anegdotycznej. Nie posiadając gruntowniejszego przygotowania naukowego, nie czyniła nigdzie samodzielnych obserwacyj i korzystała z relacyj przygodnie spotkanych ludzi. W sądach o urządzeniach społecznych i politycznych p. Boegli jest zawsze zdania tego środowiska, w którym przebywa. Tak np. z południowcami Stanów Zjednoczonych z powodu zniesienia niewolnictwa ubolewa nad murzynami, którzy daleko lepiej się czuli i byli pracowitsi w niewoli (przeciw czemu tłumaczka uczuła się w obowiązku zaprotestować), krytykuje zły stan „sprawy robotniczej" w Australii, gdzie robotnicy są leniwi i wymagający, a służba zasiada z państwem do stołu. Pomimo pewnych ogólników na temat dążeń demokratycznych, z książki wieje szacunek dla wszelkich tytułów i dostojeństw, oraz nader lojalne zgadzanie się z wolą Opatrzności, która za cnotę i pracowitość wynagradza biedną podróżującą nauczycielkę sowicie, wyszukując dla niej intratne posady, pomoc dobrych ludzi i gościny u bogatych uczenic. Dosyć powiedzieć, że książka ta poleconą zostala przez galicyjską Radę Szkolną Krajową, jako lektura wzorowa dla młodzieży. Przekład dobry.

Z.

═══ *Czesław Wrocki:* W imię Krzyża! Krótki rys dziejów inkwizycyi powszechnej. Kraków, 1908. Warszawa—G. Centnerszwer i Sp. (str. 88 i 2).

„Krótki rys dziejów" p. Cz. Wrockiego jest broszurką agitacyjną o antyklerykalnej tendencyi, jak to się okazuje z całego toku rzeczy, nie mówiąc już o „przedmowie" i o „zakończeniu", w których autor wprost oświadcza, że chodzi mu o uroszczenia hierarchii kościelnej do przewodzenia w społeczeństwie; zastrzega się jednak przytem, że z religią zgoła walczyć nie pragnie, że właśnie w świetle religii, ofiary i miłości szczególniej ponurą barwą przyodziewa się praktyka tych, którzy się mienią wykonawcami nakazów Chrystusowych. Jako broszura agitacyjna, książka może spełnić swe zadania, bo oto np. ciężka sprawa zachodzi z wyjaśnieniem kolizyi pomiędzy zasadą nieomylności papieża a potwornym faktem inkwizycyi, za który odpowiedzialnością historya obarczyła kościół katolicki, jakkolwiek od odpowiedzialności tej dziś uchylićby się pragnął. I ciężka także sprawa z współczesną nam kanonizacyą największych okrutników, którzy niegdyś pławili się we krwi męczenników. W taki oto sposób dzieje ubiegłe stają się teraźniejszością, kościół wyprzeć się nie może tego, czego jednak dziś się wstydzić jest zmuszony. Pozatem broszurka posiada wątpliwą wartość we względzie ściśle

historycznym, chociażby nawet w znaczeniu szkicu popularyzatorskiego. Wykład jest nieco chaotyczny. Znaczna część energii jest włożona w to, by dowieść świadomej woli kościoła w stosowaniu do kacerzy kary śmierci, ale nie w sensie faktu przedmiotowego, łecz raczej w sensie dowodu obciążającego... współczesne tendencye kościoła. Co najważniejsze wreszcie—fakt inkwizycyi jest wyrwany z zespołu innych faktów historycznych, przedstawiony jest wyłącznie jako objaw zdziczenia instytucyi papiestwa, lecz nie jako zjawisko, wypływające z odpowiednich przesłanek dziejowych. W jednych krajach krwawe prześladowanie kacerzy rozwija się i kwitnie przez stulecia, w innych znowu ten kwiat przeklęty rychło zamiera lub wcale rozkrzewić się nie daje. Dlaczego? Jedyna odpowiedź: tu i owdzie duchowieństwo umiało rozdmuchać fanatyzm religijny tłumów. Czemu gdzieindziej dokonać tego nie zdołało? Niektórzy historycy uważają inkwizycyę hiszpańską za narzędzie władzy świeckiej. Autor walczy z tem twierdzeniem: nie, papiestwo i tylko papiestwo ponosi moralną odpowiedzialność za zgrozę katowania setek tysięcy niewinnych ludzi. Czy gdyby było dowiedzione, że inkwizycya była dobrym interesem dla Filipa II (ostatecznie, głupim interesem), czy przez to ohyda popierania znęcań się nad ludźmi „w imię krzyża“ stałaby się mniejszą? „Do celu — powiada autor—zdążano ostrożnie, powoli i konsekwentnie“. I oto papiestwo chwyta się pozoru wypraw krzyżowych, by ugruntować fanatyzm religijny. Następnie zabrano się do tępienia innowierców i heretyków... W ten sposób pracę wieków, powolny pochód dziejowy autor przedstawia jako piekielną machinacyę, niewiadomo skąd powstałą, pewnej grupy jednostek, a następnie rozwijające się fakty uważa za skutek wykonywania takiego oto testamentu! Jest to chyba pogląd dość niehistoryczny! Broszura może zaostrzyć nieufność czytelników względem uroszczeń klerykalnych, ale trwałych nabytków umysłowych chyba mu nie dostarczy.

A. Drogoszewski

—— *Feliks Kon*: Etapem na katorgę. Ze wspomnień proletaryatczyka. Kraków, 1908. Nakł. A. Heflicha.

W sprawozdaniu „Czytelni Wolskiej“ za rok ubiegły między innemi znajdziemy ustęp, potrącający o wymagania młodzieży robotniczej, która żąda nieraz „coś z Syberyi“ lub „z więzienia“. O ile wymagania te dotyczyły wspomnień, obejmujących różne chwile i szczegóły ruchu woluościowego z ostatniej ćwierci wieku ubiegłego i początku XX-go, Czytelnia z pewnością znalazła się w wielkim kłopocie, gdyż dziwnie ubogi jest u nas ten dział literatury historycznej, tak bujnie gdzieindziej rozkwitający. Do szczupłej wiązanki, którą w tej dziedzinie pochwalić się możemy, przybywa obecnie garstka „wspomnień proletaryatczyka“, skreślonych żywem F. Kona piórem. Wspomnienia zamykają się w rodzinnej niejako atmosferze skazańców, autor nie ma uroszczeń do rozwinięcia szerszego obrazu historycznego. Mamy tedy w książce przedstawione ostatnie dni pobytu w Warszawie, dni pełne trwogi o los tych towarzyszów, którym groziła śmierć, i następnie dzieje wędrówki proletaryatczyków na wygnanie. Cośmy powiedzieli o przedmiocie, powtórzyć możemy o jego traktowaniu. Autor z naciskiem i namiętnością nawet uwypukla szczegóły i drobiazgi, które łatwo zginą w ogólnej perspektywie, lecz które dla garstki skazańców mogły mieć pierwszorzę-

dne, moralne zwłaszcza znaczenie. Tak widocznie mocno utkwiło we wspomnieniu zachowanie się zawiadowcy, którego obłudę (udawał wzruszonego wykonaniem surowego wyroku) autor po dwudziestu kilku latach z ogniem piętnuje. Gdzieindziej autor parokrotnie wraca do refleksyj na temat budowania karyery życiowej kosztem cierpień, kosztem życia innych... W miarę posuwania się grupy wygnańców ku przeznaczonemu dla nich kresowi zmieniają się widoki, przesuwają się coraz to inni ludzie przed oczami, nowe doświadczenia czekają naszych badaczów pomimo woli. Nić opowiadania wiąże szereg luźnych epizodów, szereg luźnych spostrzeżeń, niekiedy uogólnień, może nawet nieco ryzykownych (o uczciwych ludziach, administracyjnie wysyłanych na Syberyę *wskutek knowań zamożnych gospodarzy*), i znowu wszystko to rozwija się w odpowiednią panoramę, oglądaną przez pryzmat osobistości podróżników, przez pryzmat ich ówczesnego usposobienia.

Zaznaczone powyżej cechy omawianej książki częściowo są zależne od założenia, więc od woli autora; częściowo zaś są wypływem jego indywidualności, wypływem nastroju, w którym odświeża w pamięci przygasłe widoki, dawno niewidziane twarze, przeżywa odnowa minione uczucia... Cały ton opowiadania, zarówno jak poruszane rzeczy — wszystko to pociąga za sobą ten ogólny skutek, iż niejako przybliża do nas, częściowo przynajmniej, dzieje ubiegłych lat, spoufala nas z niektóremi stronami ruchu. Nadto tu i owdzie autor zachował cały szereg drobnych rysów, wyświetlających psychologiczne znamiona ruchu, odsłania niejako jego stronę poufną. W jednem miejscu np. (str. 23) spotykamy wzmiankę o „tysiącu argumentów“ przeciwko uczuciu „zemsty“, i o tem, jak wobec surowych doświadczeń owe tysiące argumentów rozumowych skruszą się w proch wobec swoistej logiki uczuciowej. Gdzieindziej spotykamy ciekawe spostrzeżenia o dziwnem stanowisku wygnańców względem sprawy narodowościowej, gdyż w kraju byli uznani nawet w mowach obrońców sądowych za „wyrzutków społeczeństwa“, gdzieindziej naraz awansowali na szowinistów... I znowu gdzieindziej wskaże nam autor różnicę traktowania przez władze skazańców na terenie tradycyjnie gorącym, i na terenie tradycyjnie pewnym (Moskwa) i t. d., i t. d. Pryzmat zaś podmiotowy, barwiący niekiedy przedmiot kolorami nieco sentymentalnymi, nadaje zarazem tokowi opowieści cechy żywości, cechy zupełnej prawdy i szczerości. Jeszcze jedna drobna na zakończenie uwaga. Podmiotowego charakteru książki, uwidocznionego zarówno w temacie, jak jego ujęciu, nie należy rozumieć w ten sposób, iżby autor chciał wysuwać swą osobę na plan pierwszy. Przeciwnie, z nadzwyczajną skromnością swoje *ja* ukrywa zawsze poza *my*.

A. Dr.

Sprostowanie. W zeszycie 9-ym (str. 441), w art. „O nacyonalizmie żydowskim“, w wierszu 1-ym, zamiast *gienialnej* powinno być *gremialnej*.

Druk niniejszego zeszytu ukończono d. 26 czerwca.

Redaktor i wydawca: H. St. Pytliński

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa



Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy-Świat 41.